Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1879. Rok II.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

SŁOWO O HUCUŁACH I POLOWANIU

przez

C. K.

Trzeba przyznać hucułowi zręczność w używaniu strzelby i strzału, trzeba oraz oddać mu sprawiedliwość, iż nikt lepiej od niego zwierza wyszukać, wytropić, wprowadzić na ślady jego nie umie, ale też należy przyznać, że umie on wybornie władać tą tak okrutną dla wszelkiej zwierzyny bronią, jaką są sidła i żelaza. Wprawdzie nie może on w dzisiejszych uregulowanych stosunkach łowieckich, tak jak dawniej gdziekolwiek i kiedykolwiek polować, chociaż i teraz uważa hucuł las i polowanie jako rzecz wspólną, z której każdy wedle woli użytkować może; lecz ponieważ noszenie broni bez karty legitymacyjnej, naraża go na dotkliwą utratę tyle dlań pożądanej strzelby, zwraca się on z szczególniejszem upodobaniem do sideł i żelaz. Tych swobodniej używa tem bardziej, że sidła i żelaza, jako broń cicha i podstępna, większą mu korzyść i bezpieczeństwo przynoszą jak broń palna, która rozgłosem swoim sprowadza na utrapienie jego gajowych i leśniczych, częstokroć niezbyt delikatnie go traktujących. Sidła i żelaza są przeto ulubionem jego narzędziem łowieckiem. Z tych zaś, jako mniej kosztownych chętniej używa sideł, które sam, własnym swoim przemysłem sporządza, i na co tylko trochę pracy i czasu łoży, gdy przeciwnie żelaza wymagają znacznego kosztu, a zatracone bolesną przynoszą stratę.

Żelaza hucuła są zwykle z haczykiem u spodu, nie pospólite talerzykowe *(Tellercisen)*. Stawia on je na niedźwiedzia i lisa. Na pierwszego kładzie je na ścieżkach (przesmykach), po których niedźwiedź najczęściej chodzi, w lecie koło malin, i w ogóle w miejscach, gdzie zwykle przebywają, lub na żer wychodzą. Nie zawsze jednak rozważny niedźwiedź da się na żelazo złowić. Często potrąci je na bok, obchodzi, a złapany szybko pomyka w odległe lasy. W jesieni ubiegłego roku nastawił pobereźnik żelazo na niedźwiedzia. Złowił się wprawdzie, ale z żelazem uszedł w lasy wsi Zielonej, gdzie go z żelazem na nodze ubito. Innym razem nastawił tenże pobereźnik żelazo na ścieżce przechodowej, po której obu stronach ciągnęły się głębokie parowy. Po niejakim czasie przybył pobereźnik do swego żelaza, i z niemałem zdziwieniem znalazł je w parowie. Powtórzyło się to jeszcze razy kilka. Pobereźnikowi wpadła myśl, iż musi to być sprawka niedźwiedzia. Następnego razu ustawił drugie żelazo w niejakiej odległości od pierwszego. W parę dni potem pierwsze żelazo leżało jak zwykle w parowie, ale drugiego nie było. O parę kroków dalej siedział niedźwiedź, wstrzymany kotwicą łańcucha od żelaza, która zaczepiwszy się o korzeń drzewa, przykuła niedźwiedzia do miejsca. Snać nie spodziewał się on, iż uporawszy się z jednem,

znajdzie w pobliżu drugie zdradzieckie żelazo. Oba te wypadki podał mi pobereźnik z Dory, Iwan Pauluk.

Żelaza na lisy stawiają obok przynęty, zwykle padliny, w zimie, kiedy skórka lisia ma większą wartość. Żyłka złodziejska chłopa gra tu wielką rolę, jeden drugiemu odkrada nastawione żelaza, tak, że często kupi jeden u drugiego, a chętniej jeszcze odkradnie swoje własne żelazo.

Podczas zimy częściej używają na niedźwiedzia i lisa sposobu, który słupci (stempica) nazywają. W lesie na ścieżkach, którędy lis przebiega, ustawiają w poprzek drzewo grubsze lub cieńsze w miarę zwierza, na które jest ustawione, najgrubsze średnicy 16". Jeden koniec podnoszą i opierają na cienkim patyku, a drugi koniec tego drzewa okładają ciężkimi pniami i kamieniami. Koniec ten podniesiony sprawia, iż gdy niedźwiedź lub lis przechodzą ścieżką, potrącają o ten patyk, wtedy drzewo spada, i ciężarem swoim, owych pni i kamieni, zwierzę przygniata do ziemi i zwykle zabija. Rozumie się, iż na lisa lub kunę kładą drzewa poprzeczne o mniejszej średnicy (około 6—8"), a wszystko nie powinno zdradzać roboty rąk ludzkich, lecz raczej wyglądać, jakoby owe drzewa przypadkowo same się tak ułożyły. Na kuny, tchórze, łasice rzadziej żelaz używają, mają do tego inne narzędzia, które sami sobie wyrabiają. Są to drewniane łapki podwójnego rodzaju. Pierwsza składa się z dwóch desek równych, jednej na ziemi leżącej, drugiej jednym końcem stykającej się z spodem poziomej deski, i tamże związanej — u drugiego zaś końca znajduje się kabłączek, po obu końcach przybity do spodniej deski. Między obu deskami umieszczoną jest cienka deszczułka, tej prawie długości co obie deski, przywiązana w miejscu, w którem obie deski są spojone. Druga mała deszczułeczka umocowana jest u góry kabłąka. Gdy przyrząd ten ma być nastawiony, podnosi się wierzchnią deskę, podpiera ją deszczułeczką z kabłąka, i deszczułeczkę tę wkłada się w nacięcie u końca deszczułki, znajdującej się między obu deskami, a do niej przywiązana jest przynęta, t. j. kawał mięsa lub jaja (na kuny). Obie te deszczułki są w powietrzu, gdy kuna poruszy ponętę, dłuższa spada na dół, krótsza podnosi się do góry i sprawia, że deska górna, obłożona zwyczajnie jeszcze ciężarami, spada na zwierzę, znajdujące się wtedy między deskami. Często można widzieć po domach takie łapki, przeznaczone do łowienia myszy, te wszakże, o których piszemy, są znacznie większe, odpowiadające wielkości zwierzyny, mającej być złowioną. Niejednokrotnie widziałem w górnej desce powbijane gwoździe, które ostrymi końcami wpuszczone były do wnętrza, a to w tym celu, iżby zwierze, nie dosyć mocno ciężarem spadającej deski przygniecione, przytrzymywały.

Innym rodzajem takiej łapki jest skrzynka podłużna, której obie poprzeczne ścianki, u góry na zawiaskach, podnieść można za pomocą sznureczków. Sznureczki łączą się z obu stron w jeden na kółku stojącym w połowie skrzynki na górze, a zakończone małą deszczułeczką zchodzą ztamtąd w dół. Ze środka wychodzi na zewnątrz druga deszczułeczka, o nią zaczepia się pierwszą, i podpiera obok skrzynki. Na wewnętrznej deszczułce przywiązana jest przynęta. Nastawiona łapka ma pozór otwartej z obu poprzecznych stron i z góry skrzynki Gdy kuna lub tchórz poruszy wewnętrzną deszczułkę (języczek), zsuwa się ona, a tem samem uwalnia drugą deszczułeczkę od sznurków, ta odskakuje, sznurki opuszczają obie połowy otwarte — i zwierzyna żywcem się łowi. Aby się nie wymknęła, kładą na górę kamień albo sprężynkę, które nie dozwalają podnoszenia połów do góry.

Na wilka stawiają żelaza większe od lisich obok padliny, kopią jamy, albo czatują obok padliny, której ofiarą zwykle psy padają. Na sarny kładą sidła własnego wyrobu albo żelaza. Żelaza owe są istną torturą dla sarn. Ułowiona najczęściej za nogę, rzuca się i szamoce w celu wyswobodzenia, ale nadaremnie, ostre gwoździe, coraz głębiej wbijają się w jej ciało, zdzierają skórę i mięso aż do kości, wykręca lub łamie nogę, i w tym stanie oczekuje barbarzyńskiego myśliwego, jeżeli tymczasem nie stanie się łupem zwierząt drapieżnych. Sarnę nazywają tu wszędzie „zwirie". — Zająca łowią za pomocą sideł. Jeżeli zając wnęci się do ogrodzonych ogrodów, stogów siana lub otawy, pozwalają mu swobodnie chodzić, aby tam większą ich liczbę przywabić. Po niejakim czasie kładą w ową dziurę, którą zwyczajnie zając włazi, sidło — klukę zaciągającą się. Zając wchodząc do ogrodu wsadza głowę w sidła, a postępując dalej, zaciąga klukę coraz silniej, aż się udusi. W ten sposób hucuł kilkanaście zajęcy złowić może, i nie dziw, że tej zimy można było od żydów przekupniów dostać zająca za 45 do 50 ct, gdy już za skórkę płacili po 25 ct. O ileż taniej musiał żyd kupić zająca od chłopa, aby parę centów zarobić, i ile to to musiano sprzedawać zajęcy, kiedy żyd tak tanio je odprzedawał, roznosząc po wsiach i dworach. Jak nasz hucuł nie umie cenić wartości zwierzyny, niech świadczy, iż sam widziałem, jak pewnego razu jeden z nich sprzedał słonkę „sznypkę" za bajecznie niską cenę — 4 ct. „na paczku tiutiunu." — A było to w jesieni, i była tak tłustą, że chłop ją kijem zabił.

O jarząbku dawniej już w „Łowcu" mówiłem. Na głuszca „gotur" rzadko się wyprawiają, bo to mozolne polowanie.

Za tumakiem, którego hucuł „kunycią" nazywa, wybiera się zaraz po pierwszej ponowie w lasy, wziąwszy jako pożywienie kawał „korżu", prócz tego bryndzę, hubkę i krzesiwo dla rozniecenia ognia i tytuń. Nieraz przez kilka dni idzie za śladem kunyci, aż ją w końcu znajdzie i zabije. Teraz już z mniejszą zapamiętałością upędzają się za kunycią, bo futerka ich staniały, dawniej, kiedy drożej płacono, nie wahał się na tydzień lub półtora wyruszyć z domu na to polowanie. Podziwienia godną ma też wytrwałość. Na dzika, który mu ziemniaki psuje, czatuje kilka nocy jedna po drugiej, w zimie podczas najsilniejszych mrozów czeka godzinami koło płonki na wydrę, w skutek czego często zapada w niebezpieczne choroby, to go jednak nie powstrzymuje od zaspokajania namiętności myśliwskiej,

Jako prawdziwy syn natury, pełen jest przesądów i zabobonów, które i w myśliwstwie się objawiają. Gdy strzelbę kupuje, nie weźmie ją wprost z rąk sprzedającego, każe w lufki włożyć po dwie loftki i położyć strzelbę na ziemię, następnie obwinąwszy rękę kawałkiem jakiego sukna, bierze ją ostrożnie z ziemi, i niesie do domu. Loftki wyjęte z lufek zachowuje, lub jeżeli niemi strzela, to powinien koniecznie celnie trafić, choćby do celu. Niedobrze jest — mówi hucuł — strzelać do „kaniugi" (kania, *falco milvus*) albo wrony, bo się strzelba psuje, ale strzał do psa wyprawia strzelbę i czyni ją donośniejszą. Jeżeli idzie na polowanie, a kobieta z próżnemi rękami drogę mu przejdzie, wróży sobie niezawodne niepowodzenie, a im większy ciężar w rękach dźwiga, tem większego szczęścia spodziewać się może.

W wiliję Bożego narodzenia, nim do wieczerzy zasiądzie, wychodzi na dwór i strzela, aby mu się w następnym roku

szczęściło, a jeżeli strzałem jaką żyjącą istotę ubije, to już polowania będą pewnie pomyślne. Warto widzieć, jakie to huculi posiadają strzelby. Lufka przymocowana do łoża drutem, łoże własnego wymysłu, zamek o pół cala nie przystaje do łoża — ale jak czule hucuł przywiązany do swej strzelby, więcej mu owa połatana pojedynka ukochaną, jak najwytworniejsza i najlepsza Teschnerówka! W ogóle niema hucuł pociągu do odtylcówek, jest on konserwatystą w całem tego słowa znaczeniu, Słyszałem orzeczenie wielu hucułów, którzy strzelby odtylcowe uważali za broń nieużyteczną, wcale nie nadającą się do polowania. W kabzlówce — mówi — mam wypróbowany strzał, mam miarkę jedną i tę samą na proch i śrut, a do odtylcowych nie wiem, jakiego użyć naboju, nie jestem pewny, czy mocno uderzy, zresztą i strzelba i naboje drogo kosztują. O ten wzgląd ostatni, zdaje się rozbija się wszelka możliwość sympatyzowania hucuła z odtylcówką. Widząc ją, przypatruje się z ciekawością, podziwia rzeźbę, ale w końcu powie: *„nyczoho ne warta, i fenykabym ne daw.“*

Do strzelania okazuje każdy hucuł szczególniejszy pociąg. W niedzielę, w każde święto, przy domu, na połoninie strzela do celu, jedynie tylko aby strzelać. Proch jest dla niego najmilszym darem. Ważniejsze uroczystości, święta kościelne mają większy urok dla niego, jeżeli przy czytaniu „ewanhelii“ kilka pukawek zagrzmi.

Lubi wspominać o odbytych polowaniach i przygodach myśliwskich, o zwierzynie, chociaż często przy tej sposobności gwałtownie mija się z prawdą. Hucuł jako „Bouhar“ t. j. pasterz lubi mieć na połoninie jeżeli nie strzelbę, to przynajmniej ciekawego słuchacza, wtedy dziwa opowiada o napadach niedźwiedzi i wilków na bydło w koszarach. Godzinami nieraz słuchałem, siedząc przy ognisku w szałasie, takich malowniczych opowiadań, a słucha się ich z takiem wytężeniem uwagi, jakby przedmiotem ich były kwestye najżywotniejsze. Ileż to takich gadek krąży między ludem, gdyby kto zechciał zbierać je, znalazłby nieprzebrany skarb, a czytającej publiczności, zwłaszcza czcicielom Dyany, sprawiłby nie małą przyjemność. Lasy i góry mają dla Hucuła urok niewymowny, a choć gdzie indziej o wiele lepiej mu się powodzi, to wraca jednak radośnie w swoje góry, gdzie troskę i nędzę znajduje. Z pogardą nazywa wieśniaka, mieszkańca równin podolskich „bat'kiem“, natrząsa się z jego długiego „peteka“, z jego ciężkich butów, gdy jemu tak lekko, tak swobodnie w krótkim kożuszku bez rękawów lub peteku, w „postołach“ (chodaki) lekkich i przylegających do nogi. O sobie powie hucuł z pewną dumą: „ja Hucuł!“ Bywają często chodaki wyśmiewane, lecz bardzo to pożyteczne obuwie w górach, szczególnie na polowaniu. W lecie, na stromych górach, upewnia chodak nogę od pośliznięcia, czego trzewik lub but nie uczyni, w zimie na stanowisku chroni doskonale od zimna, nie tak łatwo chodak przemoknie, chyba cały zanurzy się w wodzie.

Oto mała cząstka z życia myśliwskiego naszych czarnohorskich górali, oczekuje ona wprawniejszego pióra, któreby z całą znajomością i miłością rzeczy tym nader ciekawym przedmiotem zająć się zapragnęło!

TOWARZYSTWO MYŚLIWSKIE
SOŁOTWIŃSKIE.

Już w poprzednim numerze „Łowca“ donosiliśmy o zawiązaniu Towarzystwa myśliwskiego w Sołotwinie i wyraziliśmy nadzieję, że ono wielką odda przysługę łowiectwu tamtej okolicy, a oraz stanie się przykładem i wzorem dla innych tego rodzaju Towarzystw, jakie w naszym kraju dla rozszerzenia zasad racyonalnego łowiectwa, dla wytępienia kłusownictwa i innych praktycznych celów, tworzyć się powinny. Dotąd mamy wraz z nowo zawiązującem się, trzy takie Towarzystwa i już widzimy błogie ztąd dla łowiectwa wynikające skutki. Stojąc dla siebie niezawiśle, stykają się one tylko z galicyjskiem Towarzystwem łowieckiem, jako centralnym reprezentantem interesów swoich, zresztą rządzą się według własnych statutów, a działając w myśl potrzeb i celów ogólnych, krajowych, mają swoje indywidualne dążenia, zgodne z miejscowemi stosunkami i wymaganiami. Takiem też jest Towarzystwo Sołotwińskie, którego dzieje zawiązania się i pierwszych czynności do wiadomości czytelników naszych podajemy. Inicyatorami tego nowego związku myśliwskiego byli pp. Stanisław Janiszewski i Franciszek Hess — oni też zapewne pilnie baczyć będą, iżby to Towarzystwo silnie się ustaliło i istotne łowiectwu przyniosło korzyści. Witamy nowych robotników w zakresie dobra publicznego serdecznem: *„Szczęść Boże!“*

Okólnik.

Popierając cele galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, jakoteż pragnąc przysporzyć i zapewnić myśliwym prawdziwej przyjemności łowieckiej, przedkładam projekt do zawiązania stowarzyszenia myśliwskiego, które wspólnym kosztem biorąc w dzierżawę polowania gminne najbliższego okręgu, będzie mogło swobodnie używać tej przyjemności, a oraz czuwać nad podniesieniem zwierzostanu i nad ścisłem przestrzeganiem Ustawy łowieckiej. W tym celu obowiązuje się ono nie tylko między sobą zachować karność, ale nadto wszelkimi możliwymi sposobami poskramiać kłusownictwo, tę istotną plagę naszego łowiectwa i tamę swobodnego rozmnażania się zwierzyny.

Cel ów zamierza Stowarzyszenie osiągnąć następującymi środkami:

1. Wnieść zbiorową petycyę do świetnego c. k. Starostwa w Bohorodczanach, upraszającą o bezzwłoczne rozpisanie w myśl Ustawy licytacyi na prawo polowania w obszarach gminnych okręgu Sołotwińskiego, — wysłać z grona stowarzyszonych, delegatów upoważnionych do zalicytowania prawa polowania w obszarach gminnych: Sołotwina, Monasterczany, Starunia, Kuraki, Dźwiniacz, Kosmacz, Rozsulna, Krzywiec, Jabłonka, Markowa, Maniawa, Kryczka, Porohy, Bogrówka, Babcze, Zarzecze, Rakowiec, Głęboka, Chmielówka, Hlebowka.

2. Wchodzący w skład Stowarzyszenia, złożą jednorazowo 5 złr. na rzecz wydzierżawienia prawa polowania, a oraz zobowiążą się w razie, gdyby zebrany na ten cel fundusz nie wystarczył, dopełnić takowy dodatkową wkładką, w równych częściach na członków rozłożoną.

3. Każdy z przystępujących przyjmuje na siebie obowiązek tak sam osobiście, jakoteż przez swych podwładnych nieubłaganie ścigać kłusowników, odbierać strzelby nieupra-

wnionym lub oddawać ich w ręce karzącej sprawiedliwości. W tym celu przeznaczy Stowarzyszenie na mocy uchwały wynadgrodzenie 2 lub 3 złr. od każdej strzelby odebranej. W niektórych miejscowościach wypadnie zapewne utrzymywać osobną straż, powierzając ową funkcyę najodpowiedniej we wsi któremu z chłopów myśliwych, dając mu pozwolenie polowania z warunkiem, by niedopuszczał kłusownictwa. Taki myśliwy już własnego strzegąc interesu najskuteczniej będzie cele Stowarzyszenia popierał.

Panowie myśliwi, przychylający się przekonaniem do treści owego okólnika, raczą stwierdzić go swoim podpisem, a następnie w umówionym terminie i miejscu zebrać w celu zorganizowania Towarzystwa.

Dźwiniacz dnia 27. Listopada 1878.

Stanisław Janiszewski.

(Następuje 18 podpisów).

Projekt statutu Towarzystwa myśliwskiego w Sołotwinie.

Stowarzyszenia zamiarem jest przedewszystkiem w celu wprowadzenia uregulowanego łowiectwa i pomnożenia zwierzostanu, wziąć na rozpisanych przez c. k. Starostwo licytacyach w dzierżawę prawo polowania od gmin: Sołotwina, Zarzecze, Dźwiniacz, Maniawa, Krzywiec, Markowa, Rakowiec, Jabłonka, Rosulna, Manasterczany, Zuraki, Starunia, Kosmacz, Chleboka, Chmielówka, Głęboka, Babcze, Bitków, Kryczka, Bogrówka, Porohy, i z grona swoich członków wybiera dwóch, którzy będą upoważnieni w imieniu Stowarzyszenia kontrakt dzierżawny zawrzeć.

1. Każdy z członków będzie obowiązany złożyć na razie 5 złr. na opędzenie kosztów dzierżawnych i innych wstępnych, która to wkładka następnie po zupełnem zorganizowaniu się Towarzystwa podniesioną lub zniżoną zostanie. Kwota ta tymczasowo oznacza się jako wkładka roczna, uiszczana przez każdego z członków do kasy Towarzystwa.

2. Stowarzyszenie obiera ze swego grona komitet złożony z 7 osób, a z tych jednego jako przewodniczącego i jednego jako kasyera. Z członków komitetu będą dwaj upoważnieni do reprezentowania Towarzystwa wobec Władz politycznych i sądowych i do zajęcia się wszelkiemi zewnętrznemi, w zakres Stowarzyszenia wchodzącemi sprawami.

3. Każdy z członków Towarzystwa powinien tak sam, jakoteż przez podwładne mu osoby pilnie strzedz wykonywania Ustaw łowieckich i o wszelkich przekroczeniach tychże bezzwłocznie uwiadamiać członków komitetu, którzy na mocy upoważnienia swego, dalsze urzędowe kroki poczynić są obowiązani. Nadto winni członkowie Towarzystwa najściślej przestrzegać terminu polowania i ochrony zwierzyny, Ustawą przepisanego, i o każdem wykroczeniu czy to przez członka Stowarzyszenia czy też osobę obcą, natychmiast komitetowi donosić.

4. Komitet wydaje każdemu z członków Towarzystwa certyfikat nadający mu prawo polowania, odnoszący się wyłącznie tylko do jego osoby, któryto certyfikat, przez przewodniczącego i jednego z członków komitetu podpisany, bezwarunkowo nikomu innemu służyć nie może. W razie, gdyby taki certyfikat w ręku nieupoważniego się znajdował, to chwilowy ów posiadacz jego będzie uważany za zwykłego kłusownika, a członek Stowarzyszenia, wydający certyfikat z swej ręki, do surowej pociągnięty odpowiedzialności. Będzie jednak każdy członek miał prawo, w oznaczonym dniu polowania, lub na niżej opisane łowy na zwierzynę, która w każdej porze zagładzie podlega, gościa w imieniu swojem zaprosić.

ad 3. Każdemu ze straży leśnej, przez członka Stowarzyszenia postanowionej, przyznaje się za każde przestępstwo, przy którem tenże kłusownikowi strzelbę odbierze, jako premję: za pojedynkę 2 złr., za dubeltówkę 5 złr., które to kwoty kasa Towarzystwa natychmiast wypłaci.

5. Każdy członek związku łowieckiego ma prawo polować na wszelką zwierzynę wędrowną i drapieżną w przepisanej Ustawą porze, bądź sam, bądź z gościem swoim.

Na stałą zwierzynę wolno polować tylko w dniach, przez Walne zgromadzenie oznaczyć się mających, których liczba nie powinna przekroczyć dwóch dni w tygodniu.

Walne zgromadzenie oznaczy dnie polowania, jakoteż gminy, u których w owych dniach polowanie ma być urządzone, a lista tych dni będzie przed rozpoczęciem się pory łowieckiej każdemu z członków doręczoną.

Udział w urządzonem polowaniu pozostawiony jest dobrej woli każdego z członków, a jeżeli się od niego uchyli, to musi pozbawić się przyjemności łowieckiej aż do nastąpnego oznaczonego dnia polowania.

Przyjmuje się zasadę, iż w każdej gminie tylko dwa razy w porze łowieckiej polowania urządzane być mogą.

Rozumie się, iż Ustawa łowiecka szczególnie obowiązuje przy polowaniach na sarny i cietrzewie.

Za każdą, choćby przypadkiem ubitą kozę, oznacza się kara 5 złr., za cieciórkę 1 złr.

Zwierzyna ubita na polowaniu jest własnością myśliwego, który ją położył, a mianowicie co do drobnej zwierzyny tego, po którego strzale padła, co do grubej zaś tego, który jej śmiertelny cios zadał.

Stanowiska będą na polowaniu wylosowane.

Zabitą zwierzynę przez straż leśną, gajowych i t. d. rozdziela się losowaniem zaraz po ukończonem polowaniu między tych członków stowarzyszenia, którzy w tym dniu wcale nie strzelali, zające, kuropatwy i t. p. w całości, rogacze zaś, dziki w częściach poćwiertowanych.

Polowanie urządza i prowadzi ten z członków stowarzyszenia, który najlepiej obznajomiony jest z miejscowością, a oraz jako dowodny myśliwy jest znany.

W dniu łowów wybrany będzie kierownik polowania większością głosów obecnych myśliwych.

W razie ubicia szkodliwego zwierzęcia przez strażnika leśnego, wystawia się na licytacyę, wypłaca się strażnikowi strzałowe, nadwyżka zaś wpływa do kasy związkowej.

6. Przekroczenia powyższych prawideł, przez członków Stowarzyszenia podlegają, z wyłączeniem wszelkiej procedury sądowej, po raz pierwszy grzywnie 1 złr., w następnych razach 2 złr. Gdyby który z członków nie chciał się chętnie poddać owej karze, wykluczony będzie z Towarzystwa. Karę wymierza komitet, a członkowie poddają się jej bezwarunkowo.

7. Stowarzyszenie wiąże się tymczasowo na czas trwania kontraktu dzierżawnego t. j. na lat pięć, a komitetowi przysłuża prawo przybierać większą liczbę członków równie uprawnionych, którzy wszakże obowiązani będą, kwotę na każdego z nich przez komitet wymierzoną do kasy związkowej wpłacać.

Wszelkie spory między członkami Stowarzyszenia, rozsądza, z wyłączeniem kroków sądowych, zwołane w tym celu walne zgromadzenie większością głosów, a członkowie winni ulegle wyrokowi jego być posłusznymi.

Wszelkie możliwe dodatki i zmiany do niniejszych statutów uchwala Walne Zgromadzenie w iększością głosów obecnych członków.

Sołotwina 20 Kwietnia 1879.

Adam Brzezicki, Stanisław Janiszewski, Antoni Wessel, Adolf Fabricy, Franciszek Hess, Emil Tschuppik, Meisner, Józef Schmidt, Karol Jautschke, Ed. Schupik, Michał Kowiński, Leopold Jautschke, Józef Hodoly.

Protokół posiedzenia członków Towarzystwa, odbytego w Sołotwinie dnia 2 Kwietnia 1879.

Na mocy statutów, przyjętych i podpisanych przez członków Stowarzyszenia, delegowano pp. Adolfa Fabricego i Józefa Schmidta do c. k. Starostwa w Bohorodczanach w celu wydzierżawienia polowań gminnych, skutkiem czego wymieniemi pp. Delegaci przedkładają kwity na zapłacony czynsz za dzierżawę polowania w następujących gminach:

1. Sołotwina, Dźwinacz, Zarzecze, Jabłonka, Kryczka, Krzywiec, Rakowiec, Porohy i Bogrówka, jako jednoroczny czynsz i kaucyę .	32 zł. 40 ct.
2. Bitków, Maniawa, Manasterczany, Markowa, Babcze, Głęboka, Chmielówka, Rosulna i Kosmacz	54 zł. 50 ct.
3. Żuraki	5 zł. — ct.
4. Starunia	10 zł. 20 ct.
Razem . .	102 zł. 10 ct.

Te kwoty stanowią w połowie czynsz dzierżawny za r. 1879, w drugiej połowie kaucyę, czyli właściwie czynsz dzierżawny za rok ostatni 1883.

Na mocy statutu przystąpiono następnie do wyboru komitetu. Po odbytem głosowaniu zostali wybrani pp. Hess 14 głosami, Schmidt 14, Janiszewski 10, Fabricy 9, Hodoly 9, Brzezicki 8, Kowiński 8. Prezesem mianowano p. Hessa, kasyerem p. Hodoly'ego, zastępcami zaś Towarzystwa wobec Sądu i Władzy politycznej pp. Fabricego i Kowińskiego.

Wkładkę roczną, jaką każdy członek do kasy złożyć winien, ustanowiono 8 złr., która najdalej do dnia 3 Maja 1879 uiszczoną być ma.

W końcu uchwalono przedłożyć statuta do zatwierdzenia Wysokiemu c. k. Starostwu, co komitetowi poruczono — i udzielono pełnomocnictwo pp. Fabricemu i Kowińskiemu.

Poczem posiedzenie zamknięto. Protokół podpisali: Franciszek Hess, Józef Hodoly, Adam Brzezicki, Adolf Fabricy, Stanisław Janiszewski, Michał Kowiński, Józef Schmidt, Karol Jautschke, (?) Meisner, Leopold Jautschke, Ed. Schupik, Em. Tchsuppik.

ZIMOWE ŁOWY NA LITWIE

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

(Ciąg dalszy).

Reszta psiarni, psy młode, latają tymczasem,
Jak oparzone, w kółko, w zawody z *Szumlasem*,
Który choć często sensat, jak zwykle ogary,
Z uciechy dziś szaleje, mało co, że stary...
Co tu robić? — ztąd strzelać, będzie za daleko,
A nie strzelać, już mniejsza, co tam ludzie rzeką,
Ale i wstyd samemu, a niedźwiedź się zbliża
Coraz bardziej ku drodze — at, robię znak krzyża,
Opatrzył dobrze brandki i lufki kochanki,
I wychodzę, cóż robić, na środek *polanki*,
Hało, niczem się zakryć nie ma z żadnej strony,
Ale niedźwiedź tak widzę mocno zaprzątniony,
Psami, które go skubią ciągle z obu boków,
Że nie widzi przed sobą nic na parę kroków,
A na mnie tak wprost lezie, jakbym ja w tej chwili,
I strzelby nie miał w ręku i był o pół mili —
Chodź, chodź mój kochaneczku, kiedy taka wola,
Wtem na kroków trzydzieści, w samym środku pola,
Zatrzymuje się, szarpnął go wyraźnie który
Dokuczliwiej, więc groźny, poważny, ponury
Staje z łbem spuszczonym, niech go piorun trzaśnie
Jaki imponujący! — a ja w ten łeb właśnie
Jak nie stuknę! padł z dymem, jak onucza panie!
A psy wszystkie na niego, i zcichło szczekanie,
Jakby je raptem jaka niewidzialna siła
Zawiesić się w powietrzu od razu zmusiła...
Cisza jak w refektarzu.., tak ja panie tego,
Jak nie wytnę trzy razy w trąbkę *pojezdnego*,
Jak nie poprawię jeszcze... aż tu niezadługo
Widzę panie furmankę i jednę i drugą,
I trzecią, a na każdej w cwał, co koń wyskoczy,
Lecą wybałuszywszy jak talary oczy,
Jaś, Piotr, Paweł i reszta... Panie Joachimie!
(Zapomniałem powiedzieć, że to moje imię)
Co to jest? Niedźwiedź leży! A niechże cię Bogi!
Otoż się popisałeś gracko, panie drogi!
My tam sobie trąbimy na psów i na ciebie
Przeklinając Daniłkę, psów i samych siebie,
I myśląc, że już niedźwiedź gdzieś tam het, daleko
Nie oprze się, jak milę, albo dwie za rzeką,
A posłuchując tylko od czasu do czasu
Gonu coraz słabszego, od tej strony lasu,
Kiedy naraz słyszymy strzał, i zaraz po nim
Pojezdne... a niechże cię!... jakże nie pogonim
Do sanek... To Joachim, powiada Ignacy,
On jeden to potrafi, dziś ludzie nie tacy,
Żeby na pojedynkę tak dybać z niedźwiedziem...
Jedźmy zaraz po niego, skoczyli i jedziem,
Aż tak jest, jak Ignacy powiedział... niech żyje
Pan Joachim! za zdrowie jego niech wypije
Każdy po dwa kieliszki! — bo to rzeczy nowe,
O milę za ostępem wypić pogrzebowe!
I poszła cna kolejka — wszyscy się radują,
A Daniłko z kotłowym gończaki sforują,
Spędziwszy je z niedźwiedzia harapem, bez czego
Wisiałyby tam przy nim aż do dnia sądnego
Przystępujem następnie do rewizyi rany
Śmiertelnej, niedźwiedziowi kulą mą zadanej —
Jak cyrklem między oczy, dobrze wymierzony,
W sam łeb był strzał posłany, i w sam łeb trafiony,
Innej w nim kuli niema... Ogólne zdumienie,
Ogólna jubilacya i zadowolenie,
Każdy patrzy, probuje, maca go, dotyka,
Jak ów Tomasz niewierny, palce w ranę wtyka,
Aż wtem ja: — Ale, ale, a czyjeż to strzały
Pytam — za zmykającym gdyby grad padały?

— Moje — Paweł powiada — i moje — Roch doda,
— Nie warto było strzelać, ale krew nie woda.
Choć w galopie i gąszczu, że nie sposób było
Trafić, daliśmy ognia, i to narobiło
Całej biedy, bo niedźwiedź, miarkując ze strzałów,
Że to nie koniec jeszcze podobnych opałów,
Puściwszy się na rozbój i na awanturę,
Przewrócił kilku chłopów, i znalazłszy dziurę
Wolną, czmychnął z ostępu, nie rachując zgoła,
Że go i za ostępem dosięgnąć też zdoła
Ręka sprawiedliwości, z którą trudna rada,
Kiedy jest w końcu lufki drogiego sąsiada —
Vivat więc pan Joachim! jeszcze jego zdrowie
Wypijmy po raz trzeci, szanowni Panowie!
Krzyczy Roch, do pociągu zdolny, i z manierki
Łyknął haust, objętości dobrej pół kwaterki,
Wypili więc po trzecim, nareszcie po czwartym,
Bo było trochę chłodu na polu otwartem.
Z niedźwiedziem, w paradzie złożonym na sanie
Zakończyliśmy wreszcie nasze polowanie.

XVII.

Już jeśli kiedy było mi błogo,
Jeślim się kiedy w duszy mej cieszył,
To powracając tą samą drogą;
Nigdy też w życiu, obym nie zgrzeszył,
Nie byłem taki i ożywiony,
I tak dowcipny, tak oczytany,
I tak rad z siebie, i ugrzeczniony.
I tak dla świata całkiem wylany,
Nawet tak miły — jak przez tę drogę,
Sam sobie słuszność tę oddać mogę.
A jeszczeż proszę, jak mnie przyjęły
Damy, tytułem tryumfatora,
Jak między siebie wszystkie mnie wzięły,
Zwąc bohaterem tego wieczora;
Kiedy nie zaczną skakać koło mnie,
Zosia Elżunia i Izabelka,
I jak koteczki łasić się do mnie,
Znikła już we mnie powaga wszelka, —
Co z niemi robić sam nie wiedziałem,
Zdaje się nawet, że tańcowałem.
I Ignacowa się nie posiada
Z szczęścia, i radość wszystkich podziela,
I Pawełkowa chwali sąsiada,
Że taki tęgi, i dobrze strzela;
A jak podali jeszcze węgrzyna,
Nalewki, miodu gąsiorków parę,
A jeszcze tego, i tego wina,
A wszystko smaczne, mocne i stare,
Byłem rozkoszny, byłem kochany...
Tak mi się zdało, bo byłem pijany.

XVIII.

Wcale się człek nie gniewa za spoczynku dzionek
Po dwóch dniach polowania i lekkiem przepiciu,
A niemniej też przyjemnym jest on dla małżonek,
I w ogóle dam naszych, które nic tak w życiu
Nie lubią, jak mieć swego brata, wnuka, syna,
A przedewszystkiem męża, bez wieku różnicy,
(O kochankach się tutaj też nie przepomina)
Dla większej chwały Boga, ciągle przy spodnicy...
Zapowiedziany zatem przez Jasia spoczynek
Całodzienny, wywołał wielką jubilacyę,
Zniesiono suchych drewek stosy na kominek,
Zdyskutowano bacznie obiad i kolacyę,
Po herbacie i kawie, pod wodzą Zosieczki,
Która się z swym wydziałem popisać nam chciała,
Poszliśmy do tak zwanej na Litwie apteczki,
Gdzie prócz wódek, nalewek, miodów, była cała
Góra różnych przysmaków, a że trochę wczora
Zalało się za nadto pałkę dobrem winem,
W charakterze zwycięscy i tryumfatora,
Więc wypadło wyraźnie wybić dziś klin klinem,
I wypiło się nie źle — przez ten czas, niestety!
Poznałem, jak marzenie moje, żem kochany
Przez wszystkie zgromadzone w Lipówce kobiety,
Były marne! bo dziś już porządnie wyspany,
Zobaczyłem, że Zosia Jasia swego kocha
Więcej, jak kiedykolwiek, Pawła Pawełkowa,
Roch figlarną Elżunię, a Elżunia Rocha,
A nawet Ignacego stara Ignacowa!
I że ja jeden tylko z ładną Izabelką
Bez miłości zostajem!... z gładkim więc ukłonem,
Subtelną elegancyą, i attencyą wszelką
Połączonemi z miną stosowną i tonem
Robię jej tę uwagę, lecz ona wzajemnie
Odpłaca mi drugą, że kochając mego
Synowca Antoniego, pragnęłaby we mnie
Znaleść najgruntowniejszy filar szczęścia swego.
— Otóż masz! myślę sobie, skończyło się na tem,
Że zamiast mój interes zrobić przy dziewczynie,
Przyjdzie się być Antosia, łotra tego swatem,
Dzięki mym pięćdziesięciu latom i łysinie!
Niechże więc i tak będzie! wdzięcznym nieskończenie,
Ale żeby już razem zabawić się trocha,
I przy tem samem ogniu upiec dwie pieczenie,
Postanawiam Elżunię wyswatać za Rocha,
Wybadać go więc muszę, jak tam z nimi było,
A że to dobry chłopak, jedynak babuni,
Nie źle by się dla Piotra starego złożyło
Złowić takiego męża dla ładnej Elżuni —
Dziś więc tę rzecz obrobię tak z nim, jak i z Rochem,
A jeśli mi się uda wszystko bez mitręgi,
I sam się nie zamięszam w tej kapuście z grochem,
To już sam sobie powiem, dalipan, żem tęgi!

XIX.

Już to czy mnie dyplomatą
Tam Pan Bóg już stworzył,
Czy interes z małą stratą
Czasu, sam się złożył,
Ale z Rochem tak mi gładko
Udało się Panie,
Że Elżunia już mężatką
W zapusty zostanie —
Poczciwe moje Piotrzysko
Ot tak w górę skoczył,
Jakby mu na stanowisko
Wieloryb wyskoczył,
A jakem mu wbił Mosanie,
W łeb nowinę wielką,
Że się coś w tym guście stanie,
Jeszcze z Izabelką,

Myślałem już, że zwaryował, —
Z początku zaprzeczał,
Nie chciał wierzyć, medytował,
Wreszcie się rozbeczał —
Bo tu nie masz już uciechy
Dla wdowców, biedaków,
Jak doczekać się pociechy
Z sierot nieboraków!
Pojmujecie, jak nowiny
Te wszystkim do smaku,
Uszczęśliwione dziewczyny —
Płonie rak po raku.
Roch chociaż dziwnie nieśmiały,
Lecz rad temu szczerze,
W koperczakach teraz cały
Do panny się bierze,
A wszyscy rozweseleni,
Że tak ich już blisko
(Jeśli nic się nie odmieni)
Czeka weselisko,
Z poczęstunkiem i tańcami,
I z dobrą muzyką,
A co lepsze zważcie sami,
Z tęgą pijatyką...
To też zdrowia przy obiedzie
Sypały się gęsto,
Kto i z konceptem wyjedzie,
Dosyć śliskim często,
Ale że to wada wspólna
Starszyzny, jak młodzi,
A i radość też ogólna,
Więc koncept uchodzi.
A tyle tam napiliśmy
Zdrowiów różnych Panie,
Że znowu się rozeszliśmy
W rozmarzonym stanie,
Zawsze jednak z zachowaniem
Głównych władz człowieka,
Z pamięcią, iż z polowaniem
Hryć nas jutro czeka...

XX.

I człowiek także był ci kiedyś młody
I kochał bardzo, i jego kochano!
Z umysłem świeżym i pełnym swobody,
Pobujać umiał myślą rozigraną
Po pięknem niebie, po niebie szerokiem
Marzeń o szczęściu, marzeń o miłości,
I w dal patrzając duszy młodej okiem
Miał wiarę w siebie, i ufał przyszłości!
Głupim był bardzo — fakt to nie wątpliwy,
Ale był razem, ach! jakiż szczęśliwy!
Z początku kochał każdą, którą zoczył,
Nie umiał nawet zbyt długo przebierać,
Gotów każdemu, kto się napatoczył
Głębie swej duszy i serca otwierać.
Byleby tylko w tem była kobieta
Młoda i ładna, z chatki czy z pałacu,
Blondynka jasna, szatynka, bruneta,
Bo nieprzyjaciel, kto tylko na placu...
Bardzo był głupi, ale to pytanie,
Jest co lepszego, jak serce w tym stanie?
Potem pokochał jednę czuciem całem,
Mniemał swe życie na zawsze wzbogacić
Tym wypieszczonym myśli ideałem,
Który ofiarą wolności opłacić
Było mu łatwo, bo wszystkie w niej jednej
Streścił przymioty kobiety, anioła...
Ale ją stracił przedwcześnie, i biedny!
Dzisiaj z tą pustką w duszy i do koła,
Mniej może głupi, fakt też nie wątpliwy,
Alez zarazem — jestże on szczęśliwy?
Takie to myśli zamarłe już z dawna,
Obudził tłumem widok szczęścia drugich,
Ta śliczna Zosia, Elżunia zabawna,
Ta Izabelka o tych rzęsach długich;
Że nawet w nocy, czy mi kto uwierzy,
Śniłem ich ładne oczy, ząbki białe,
I ustek wdzięcznych uśmiech taki świeży,
Ich srebrne głosy, i ich nożki małe...
I byłem głupi przez sen, jak na jawie
Już mi się nigdy nie zdarza być prawie!

XX.

Oj nie masz, nie masz — rozkosz niebieska, —
Dla człeka z sercem czysto myśliwskiem,
Jak ta natura nasza poleska,
Z dobrze wybranem gdzieś stanowiskiem,
Co to masz razem i błoto hałe,
I grządka dębów po nad tem błotem,
A i przestrzenie pod śniegiem całe
Z cząstką zarosłą tylko czerotem,
I gąszcz szalony czarnej olszyny,
Zmięszanej z jodłą, świrkiem i brzozą,
I kawałeczek niskiej gęstwiny
Przeważnie znowu porosłej łozą,
Gdzie jak już strzelić ci się nie uda,
To cię coś w oczy ciągle uderza,
A znów nie strzelić byłyby cuda;
Taka obfitość tam tego zwierza!
Na takiem właśnie Hryć mnie postawił
Wybornem miejscu — kwadrans nie minie,
Rzekł mi odchodząc — życie bym stawił.
Z tej, czy z tej strony, będą tu świnie...
Jakoż zaledwie trąba Daniły,
Że psy puszczono, znać już nam dała,
Calutka puszcza, Boże mój miły!
Jak skowroneczek zaświergotała...
I z tej, i z tamtej, i z każdej strony
Wesoło sobie pieseczki gonią
Na różne tempa, i różne tony,
Tam naszczekują, tu ciągiem dzwonią,
Widać, że zwierza jest nie ubogo,
I że nam strzelać będzie do czego,
Bo zaoszczędcać nie ma tu kogo,
Dzik czy maciora, pal do wszystkiego!
Szkodnikiż bo to, co się nazywa!
Jak się już znęcą na hreczkę czyją,
Albo też owies, plaga prawdziwa!
Czego nie zjedzą, z kretesem zryją. —
Sześciu nas w linii przez ostęp stoi
O kilkadziesiąt od siebie kroków,
Jaś i Pawełek sąsiedzi moi

Na stanowiskach z obudwu boków,
Dobrze stać z nimi. spokojna głowa,,
Jak człek przy sobie ma przyjaciela
I myśliwego, nie wartogłowa,
Co to na chybił trafił wciąż strzela,
Rzuca się z miejsca, staje przed tobą,
I nie ogwiżdże na stanowisku,
Cały zajęty sam tylko sobą,
Nie, to mosanie nie po myśliwsku!
Moich sąsiadów mam jak na dłoni,
Wiem o nich; oni też o mnie wiedzą,
A oczyż, oczy! niech Pan Bóg broni!
Zdaje się panie, że kogo zjedzą,
Gęby otwarte, na cynglu palec,
Broń, jak wypalić, przygotowana,
A każdy taki miną zuchwalec,
Że rozkosz patrzeć, upewniam Pana...
Ale cyt... stadko po białym śniegu
Przez całe błoto w gąszcz się przebiera,
Sztuk kilkanaście zliczyłem w biegu,
Wszystko przed nami w kupkę się zbiera,
Tyc... z łozy krzaku wytknęła głowa
Dużej maciory, tej co po przedzie,
Ale Pawełek jeszcze strzał chowa,
Czeka aż całe stadko podwiedzie...
Szu! zawietrzyła raz jeden, drugi,
Ale wiatr dobry, chwilę postała,
I sunie z łozy jak sznurek długi
Czarnych paciorek czereda cała...
Paweł najbliższy bac! do maciory,
Ja bac! do drugiej za nią idącej,
I jeszcze raz bac! do sztuki sporej
Na łeb na szyję uciekającej,
Poszły w rozsypkę... Jan po za niemi
Bac! bac! dwa razy, prysły spłoszone
Na wszystkie strony, ale na ziemi
Leżą trzy sztuki, dwie zaś trafione
Kulami Jasia psy przytrzymały...
Pięć zatem świnek w tym krótkim czasie,
I na przestrzeni względnie dość małej,
To na początek nie jest źle, zda się, —
A i tam dalej nasi myśliwi
Też nie próżnują, strzałów już parę
Bliskich słyszałem, pewnie poczciwi
Piotr i Ignacy, pudlarze stare,
Lub Roch flegmatyk się popisuje,
A pieski gonią, huczki hukają,
Daniłko z rzadka się otrębuje,
Na czercie chłopi: *pilnuj!* podają...
Ruch co nie miara w całym ostępie —
W tem słyszę *hup*, *hup!* nagłe, urwane,
Do stojącego — ot w tamtej kępie —
Musi być stadko w kupę zebrane...
Ale nie, *hup*, *hup* jakieś zażarte
Psa, co troszeczkę widać się boi,
Jedno i drugie, trzecie i czwarte,
Ej! coś tam widzę grubego stoi,
Kiwam na Jasia, ten mi znak daje,
Że tego strzału mi ustępuje,
Ruszam więc naprzód, a on zostaje,
A toż go za to dziś wycałuję! (C. d. n.)

Wspomnienia Myśliwskie

PRZEZ

KAZIMIERZA hr. WODZICKIEGO.

Polowanie na niedźwiedzie w Karpatach.

(Ciąg dalszy.)

II.

W państwie Polanieckiem leżą pod samemi połoninami wsie Brzoza i Kamionka. Z pewnością żaden premiant w geografii o tych osadach nie słyszał, rzeczywiście jest to dzicz w przyrodzie i dzicz ludzka, dostająca się na jarmarki po kilka razy do roku przez rzeki, wody i sążniowej głębokości śniegi. Tam pewnie żaden turysta nie dotrze, i jedynie zamiłowany i wytrwały myśliwy zagłębi się w owe czarne knieje, na koniu, a częściej pieszo.

Po bezowocnem śledzeniu niedźwiedzi, powracających w góry tej jesieni nieco później, a mających w tym rewirze od wielu lat znane przesmyki, dowiadujemy się wreszcie, że w Brzozie jest kilka niedźwiedzi. Ruszamy, nocujemy u wójta, a nazajutrz rano dają nam znać, że są w kniei cztery obtropione, jeden bardzo duży i niedźwiedzica, z dwoma mamzerami. Rozstawiają nas nad szumiącym strumieniem, a mnie na tropie świeżym owego dużego niedźwiedzia z uwagą, iż on dziś rano do miotu wszedł i tą samą drogą powracać będzie. Miot w tych górach, to przestrzeń całego państewka rzeszy niemieckiej, a w nim tylko siedmiu gońców, wołających głosem puhaczów. Szum strumyka, prześliczny w idylli, straszliwie mnie niecierpliwił, a do tego głosy gońców, jakby z tamtego świata, rozstrajały mi nerwy, i byłem w stanie niestosownym do stoczenia walki z czarnym misiem. Przedemną biała ubocz, sięgająca do obłoków, której szczytu dopatrzyć nie mogłem, zarosła karłowatem, rzadko rozrzuconem drzewem. Stałem jak skamieniały może minut czterdzieści, gdy na tem białem prześcieradle coś zaczerniało, zwracam w ten punkt mój wzrok, i widzę pomału kroczącą starą niedźwiedzicę, a za nią dosyć już duże czarne mamzery, galopujące nakształt małp. Zwolna posuwają się ku mnie bez trwogi i ostrożności, ona łapami rozrywa mrowiska, a dzieci na zadzie, jak piony nieruchome, siadają i przypatrują się tej robocie. Gdy uczta gotowa, ona siada i nakazuje małym zbierać pożywienie i znowu się ku mnie posuwają. Już mi się dusza pcha do gardła, tchu mi brak, ręce mi się trzęsą, a myśl plany strzelania układa. Wtem na prawo widzę cień człowieka, posuwającego się ku niedźwiedziom. Złomał suchą gałęź, niedźwiedzie siadły i słuchają, a gdy się uspokoiły, znowu ku mnie ruszają. Ów cien znowu sunie ku nim, łamie drugą gałęź, w tej chwili niedźwiedzie go spostrzegły, i pędem pogalopowały w górę. Jak Job na śmieciach, tak ja w duszy wołałem: wszystko stracone, ścigając śliczne zwierzęta wzrokiem, a gdy mi z oczów znikły, miałem jeszcze pociechę w widoku czarnego dużego niedźwiedzia, kroczącego na sztych na pobereżnika, który ich już dziesięć w życiu swojem powalił. Śledzę okiem zwierza, towarzyszę mu do drzewa, gdzie stał przytulony, i nareszcie widzę tego olbrzyma zchodzącego już przez grzbiet na drugą ubocz. Nie mogłem pojąć, co się stało, bo pobereżnik nawet nie kłapnął, a stał dalej nieruchomy, lecz że ja pierwej chciałem się rozprawić z moim wrogiem, płoszącym mi niedźwiedzie, więc pobiegłem w to miejsce, gdzie go ostatni raz widziałem, lecz już nawet jego śladu nie zastałem, mniemam, że ze strachu i ze wstydu schował się pod ziemię. Po-

wróciwszy do grona naszego zapytałem pobereżnika o przyczynę przepuszczenia niedźwiedzia o kilka kroków, blady, jąkając odpowiedział: „Panoczku! lęk mnie wziął!“ Że niedźwiedź wywiera zawsze niepospolite wrażenie, wątpliwości nie podpada, niekiedy nawet zterroryzuje najlepszych myśliwych i najcelniejszych strzelców, o czem nie raz jeden miałem sposobność przekonać się. Nie koniec mego nieszczęścia! Mój towarzysz, chcąc mi dogodzić, wstawił ostatnią butelkę wina do żaru i takowa pękła, a ja od 24 godzin nie miałem nic w ustach, do domu zaś mieliśmy trzy mile przez rzeki i strumienie.

Znałem niedźwiedzia pasącego owce w górach, tak o nim mówili górniacy i żyd arendarz czyli dzierżawca pastwisk leśnych w górach mówił mi: „Ja Panu każdego niedźwiedzia pokażę, gdyż on wychodzi zaraz za owcami, jak tylko gazda zatrąbi, i co dzień lub drugi bierze mi owcę, a kozy nie ruszy. Rzeczywiście niedźwiedź zawsze swą ofiarę porywał, ale nie było dla mnie szczęścia, nie było spotkania. Trzeba wiedzieć, że stado owiec rozbiega się na 500 i 1000 metrów szerokości, szukając pożywienia w lesie, często więc niedźwiedź porywa owcę poza widokręgiem pastuchów i ujdzie spokojnie, lub też słyszę strzały, jękliwe wzywania pomocy, lecz zanim dobiegnę, już porwał owcę lub ją odbili, a ofiara leży pośród pastuszków. Wstyd mnie ogarnął, zniechęcenie opanowało, porzuciłem więc rolę tępiciela, znużony nad miarę, zawziętość wszakże moja nie zmniejszyła się, owszem przemyśliwałem ciągle nad sposobem dostania tego systematycznie polującego niedźwiedzia. Niestety psów z sobą nie miałem, chodząc jednak za tym szkodnikiem upatrzyłem na potokach jego ślady i weksle. Przy diamentowej rosie i świeżej pogodzie, jakie tylko w górach mieć można, rozstawiło się nas pięciu na przesmykach. Pogonka huczała, żyd ze strachu strzelał, pasterze na trąbach trąbili, hałas był jak w sądnym dniu. Zdawało się, że niedźwiedź wyjść musi, bo cała zbocz zajęta była ludźmi, a ów niebezpieczny gość właśnie ową ścianę zamieszkiwał od kilku tygo dni, pobierając trybut od żyda. Naganiacze wyszli, nie wypędziwszy nic, pasterze gremialnie lamentować poczęli, arendarz się rozpłakał, ja musiałem lasy opuścić, misio zaś do pierwszego śniegu brał owce, pomimo, że na niego kilkakrotnie polowano.

W rok poźniej, widocznie na krwi zaprawiony, zdaje się ten sam niedźwiedź zamieszkał w przeciwnej stronie, i tam ubił dwuletniego ciołka. Dano mi znać, zebraliśmy kilkunastu chłopów i poczęli gonić zrąb mięszany szpilkowego i liściastego lasu, śród którego malowniczo wspinały się stożkowate, sine skały. Staliśmy nad zboczą od wielkiego lasu i od wyższych gór, przed nami była spadzista przestrzeń, zamknięta głębokim jarem, nad którym snuła się kamienista ścieżka, pod nami cesarski gościniec, po za nim rzeka. Zrekognoskowawszy widokrąg, błogo mi się w duszy zrobiło, gdy mi umysł szepnął: musi na strzelców wyjść. Dziwną ma łaskę u bogów chłop na polowaniu Gdyby Diana zamiast spotkania ze zwierzem, nie uszczęśliwiającego wcale sierakowego myśliwca, obdarzyła go raczej chlebem na przednowku, stokrotnieby go więcej uradowała, niż posuwając na niego zwierza. Lecz tak jest zapisane, nie my, lecz chłopi przeważnie strzelają w górach do grubego zwierza. I tu Diana rozmiłowana w brudnym, rozczochranym i już nie młodym chłopie, jak na sznurku prowadzi nań dużego burego niedźwiedzia małym galopkiem, po krzakach rzadko rozrzuconych, na widowni dla nas odkrytej. Gdy niedźwiedź idąc na połeć, zbliżył się do faworyzowanego chłopa, tenże klęknął, wymierzył spokojnie i — kłapnął. Na ów głos niedźwiedź stanął, potem siadł na tylnych łapach i ciekawie się oglądał w przeciwną stronę. Mój sąsiad z najzimniejszą krwią odwiódł kurek, coś pomruczał i pocisnął cyngiel, kabzel spalił, a misio jak oparzony pędzi na dół spadzistą zboczą, przebiega gościniec, skacze w rzekę niezbyt głęboką, drapie się pod górę i znika nam w ciemnych chaszczach młodej świerczyny. Tak był przestraszony, że wpadł na mojego kucharza, idącego szosą po mięso do miasta, i byłby go powalił, gdyby się był szczęśliwie za drzewo nie schronił. Zdaje mi się, że mam wiele miłości dla bliźnich w sercu, lecz wtedy ze złości splunąłem i krzyknąłem do chłopa: „ażebyś pękł“ Wprawdzie nie pękł, lecz już kłapać nie będzie, gdyż porwała go w tym samym roku cholera. Pokój jego duszy, oby na ten świat już nie powracał z kłapiącą strzelbą!

Zdarzyło się to, co teraz opowiem, w r. 1866 w państwie Skolskiem, gdzie miałem w osobie Forstmeistra Schmatery rzeczywistego dobrodzieja. Owoż dostaję list od niego 17-go Września z wiadomością o dwuletnim niedźwiedziu, przemieszkującym w klinie lasu i pilnującym małego łanu zielonawo-żółtego owsa. W tej chwili posyłam pieniądze na zakupienie owsa, i wybieram się z całym taborem w góry. Miałem wtedy dowodne psy, i pomimo, że to były same ogary, brały i szarpały jak szatany tak dzika jak niedźwiedzia. Przyjechawszy na miejsce, pobereżnik stary Hrycio, znakomity tropiciel powiada mi: „Tu panoczku was trzech wystarczy, bo on nie pójdzie w pole, lecz swoim przesmykiem pomknie ku werchom (szczyty gór)“. Staje nas czterech, ale Hrycio twierdzi, że nikt, tylko ja, strzelać nie będzie. Stoję więc nad małym parowkiem, koło kłody nadgniłej, i patrzę w miot tak mały, że widzę psy szukające. W pięć minut zaledwie, a wiatr mi sprzyjał, odezwał się pies. potem drugi i trzeci, już gwarliwy koncert ku mnie się zbliża i niedźwiedź czarny, nie wielki, galopuje z całych sił, a jeden pies szarpie mu kudły u szarawarów, drugie po bokach mu towarzyszą. On pędzi, widocznie nie myśląc o stoczeniu walki, lecz raczej o ocaleniu się ucieczką. Gdy w niegęstej świerczynie zbliżył się na kroków 60, wymierzyłem na luce, najdogodniejszej dla strzału, lecz niestety, niedźwiedź nie wytknął, ale parowek przeskoczył, wypadł na pole, zwrócił się i z psami poszedł przez ten sam miot w lasy. Powiedziałem sobie: „nic dziwnego, bo ja nie chłop, a wierzyć nie chciałem Hryciowi utrzymującemu, że ten niedźwiedź oczarowany“. Do wypełnienia goryczą kielicha mego, tylokrotnie do dna wychylonego, dodać muszę, że uniesiony zbytecznym zapałem, zostawiłem mego nieodstępnego wierzchowca, znużonego długą podróżą, w karczmie. Ufny w zaciętość i wytrwałość moich psów i w moje nogi, urągające starości, wołam do moich: „mój pierwszy strzał“ i puszczam się przez gąszcze, parowy, debry i jary, przechodzę kłody i zgniłe barykady, przewracam się stokrotnie, drę odzienie, a głos moich psów czarodziejskim sposobem pędzi mnie i pędzi. Wreszcie tchu mi zabrakło, sucho w gardle, nogi się trzęsą, bo już trzecią godzinę pędzę po tej dzikiej pustyni, siadam więc i posiliwszy się tą wodą życia (okowita), która ludowi wiejskiemu przedwczesną śmierć przynosi, słyszę, że moje psy jedno miejsce oszczekują, zrywam się zelektryzowany, i biegnę jak szalony, aby na czas zdążyć. Po kwadransie pochodu słyszę strzał, zimny pot mnie oblał, mowa w gardle zamarła, krew mi do głowy uderzyła i słabo mi się zrobiło. Głos psów się zmienił, i począł ucichać, widocznie ostatni akt dramatu odegrany, a ja zamiast być pierwszym aktorem, spieszę gasić lampy. Stało się! Diana nieprzebłagana! Wlokę się powoli, już słyszę ujadania psów, zbliżam się i widzę mego niedźwiadka rozciągniętego, szarpanego niemiłosiernie przez psy, których nikt nie miał odwagi odpędzić. Czytelniku

i kolego w Nemrodzie, możesz wyobrazić sobie stan mej duszy westchnij nademną i nie żądaj, abym opisywał uczucia mną miotające. Szczególne zdarzenie: ów niedźwiedź szedł z psami półtory mili, z tyłu zupełnie obszarpany, nigdzie wszakże nie pogryziony, psa żadnego nie uszkodził, a przecież musiał być niepospolicie maltretowany, kiedy się na świerk wydrapał do wysokości sześciu metrów nad ziemią. Ta scena tak się odbyła: Pastuszek słysząc naszczekiwanie psów przybiegł, a zobaczywszy niedźwiedzia na drzewie, poszedł o pół mili odległości do szklarza, przywiódł go, a ten zrzucił jak wiewiórkę lotkami nieżywego misia, trafiwszy go w głowę. To pierwszy i jedyny niedźwiedź w czasie mego zawodu myśliwskiego, który się na drzewo schronił. Pokazywano mi dziką gruszę, na którą drugi wylazł, strząsał sobie owoce, mimo sześciu ludzi, stojących i krzyczących około drzewa.

W r. 1857 badałem przez dwa tygodnie koło Delatyna i Mikuliczyna najzjadliwszego i najodważniejszego niedźwiedzia ze wszystkich, jakie widziałem. Był to niedźwiedź biurokrata, wiodący systematyczny tryb życia. Przebywał przez dobę w tych górach, następnie wynosił się ku szczytom Nadwórny na trzy dni, i znowu na termin powracał, zostawiając zawsze ślady swej drapieżności w zabitem bydle, gdyż widocznie żywił się wyłącznie krwią i mięsem. W tygodniu po kilka dni dla badań ornitologicznych przebiegałem owe góry i zawsze słyszałem gadki o tym jednym niedźwiedziu, istnej pladze okolicy. Polując dnia pewnego z gończemi na jelenie, zabłąkałem się do koliby (szałas) wysoko w górach umieszczonej. Zrazu u wstępu stary gazda z zaplecionymi warkoczami (taki tam chłopi mają zwyczaj układania włosów) z lamentem skarży się, że mu niedźwiedź już piątą sztukę zabił, i że on pojutrze niezawodnie przyjdzie w nocy do koliby. Umówiwszy się o nocleg, stanąłem na termin uzbrojony należycie, i po wieczerzy anachoretów, położyłem się na sianie razem z huculami i hucułkami. Księżyc wtedy późno po północy wschodził, lecz gwiazdziste niebo nie dozwoliło nocy rzucić zupełnej ciemności na przestrzeń zajmowaną przez bydło. Nie mogę powiedzieć, która godzina wtedy upływała, światło wszakże księżyca już zgasło, gdy psy głośno ujadać poczęły i gazda mi mówił: „to wołki (wilki), sobaki je odgonią". — Wybiegłem z nadzieją strzelania do wilka, lecz nie były to wilki i straszny widok mi się przedstawił. W okole odległym od koliby o kilkanaście kroków, ryczało do trzydziestu sztuk bydła, z głowami zchylonemi i rogami wymierzonymi przeciw czarnemu potworowi, ruszającemu się dziwacznie. Zamięszanie nie do opisania, tu psy szczekają i szarpią, tu bydło szarżuje, a niedźwiedź groźnie mruczy śród tego stada. Wtem niedźwiedź łapą zabija młodą jałówkę, bierze ją oburącz, przerzuca przez poręcze, przeskakuje je, i dalej ją rzuca i posuwa z szybkością niepojętą ku głębokiej debrze. Nie można było strzelić celnie, gdyż te dwa wielkie ciała przewracały się razem i ani chwili nie widziałem dokładnie niedźwiedzia, oczy tylko jego jaskrawo błyszczały. Wzruszeniem wprowadzony w gorączkowy stan, posuwałem się ostrożnie za niedźwiedziem, zdradzającym swój pochód łomotem i mruczeniem, gdy zaś do lasu szpilkowego doszedłem, tak czarna noc mnie objęła, że się cofnąć musiałem. Niedźwiedź oczywiście stronił odemnie, nerwy moje były rozstrojone, humor kwaśny, a myśl wrogo mi szeptała: „czemuż nie strzelałeś?" Sumienie myśliwskie dziś jeszcze żadnego mi wyrzutu nie czyni, do niedźwiedzia bowiem, zwłaszcza takiego potworu, nie można strzelać na chybił trafił. — Wreszcie noc skonała, słońce leniwo wyzierać poczęło, obudzone ptaki ozwały się koncertem, a ja dzwoniąc z zimna zębami, posuwałem się cicho ku miejscu, w którem, jak wnosiłem, jałówka leży i niedźwiedź biesiaduje. Po kwandransie pochodu spostrzegłem zdaleka w jarze ofiarę, okrytą dwoma na krzyż złożonemi gałęziami, przysypaną liściami — ale oprawcy nie było. Opłaciłem, aby do nocy nie ruszono z miejsca tego jałówki, upatrzyłem sobie wysoki i wygodny łom na zasiadkę i czekałem z niecierpliwością nocy, a był to jeden z najdłuższych dni mego życia. Niedźwiedź rozważny i ostrożny nie pojawił się. Jałówka nie miała żadnej rany.

III.

Dzierżawiłem przez sześć lat urocze lecz zupełnie puste rewiry w Synowódzku, w Korczynie, w Kruszelnicy i Majdanie. Gdy dzików i niedźwiedzi nie było, mógł funt prochu wystarczyć dla dzieci i wnuków, jeżeli nie strzelali jarząbków, których tam wiele się chowa. Tam to odegrał się krwawy dramat między czarnym, starym niedźwiedziem a leśniczym. Na pierwszej ponowie obtropiono niedźwiedzia i napędzono na leśniczego, ukrytego za bukiem. Ten strzela i trafia w łopatkę, zwierz się wali i na śmierć układa pod kłodą. Tryumfator bez doświadczenia spuszcza kurek od drugiej lufy, idzie do niedźwiedzia i kopie go nogą. W tejże chwili zwierz rozjuszony, siada, łapą jedną przewraca nieszczęśliwego i przerzuca go za kłodę, poczem przeskakuje ją, układa się i poczyna jeść buty z nogami. Leśniczy stracił zupełnie przytomność, i daje się żywcem zjadać, woła o pomoc i ratunek grobowym głosem, na który nadbiega chłopczyna, praktykujący w służbie leśnej, strzela i trafia w miąższ. Niedźwiedź się wspina i kroczy ku napastnikowi, chcąc go powalić jedną zdrową łapą, praktykant mierzy w piersi podniesionego niedźwiedzia i — kłapie! Byłby niechybnie zginął, gdyby śmierć niezaskoczyła rozwścieklonego zwierza, który siadł, począł mruczyć, ryknął i runął pod kłodę. Buty leśniczego były jak sito podziurawione, nogi straszliwie pokaleczone. Ze strachu i cierpienia zachorował leśniczy na tyfus, i cały rok niemal leczył swoje nogi. Był to najpiękniejszy i największy niedźwiedź, jakiego w kraju widziałem.

Na polowaniu w górach z naganką w kilku strzelców, ratunek w niebezpieczeństwie jest nader trudny z powodu wielkiej odległości stanowisk, oznaczanych zwykle przy wekslach. Zanim sąsiad zdążyć może po strzale do myśliwego, może on być dawno już w szmaty rozszarpany. Przeciwnie się dzieje na polowaniu z psami, wtedy każdy myśliwy podchodzi do głosu i grono myśliwych jest zawsze w pobliżu zwierza. Nie raz mi się to zdarzyło, iż z wysileniem doszedłem do miejsca strzału po półgodzinnym chodzie.

Widocznie bogowie nie dosyć jeszcze mieli mego męczeństwa, przygotowywali mi nowe nieznane tortury. Byłem w górach 23-go Września z mojem myśliwstwem u leśniczego na kwaterze, gdy nadbiegli pobereżnicy z wiadomością o niedźwiedziu. Dziwny to i ciekawy był zwierz w drugim roku swego życia, mały, kształtny i nadzwyczaj ruchliwy. W przekonaniu, że on jeszcze z matką chodzi, czyniliśmy bezowocne poszukiwania za niedźwiedzicą, gdy niedźwiedź ów już samoistne wiódł życie. — W górach zasiewają się sianożęcia i polany gęstą świerczyną, bywa jej częstokroć na kilku morgach w zwartym gąszczu, nieprzystępnym dla człowieka. Taki to dywan ciemno zielony zamieszkał ten niedźwiedź. Po za tym samorodnym laskiem był drugi nieco starszy, dalej drągowy las, spadzista kamienista ubocz, pola, a na tle tego obrazu rozsiadła się wioska z rozrzuconemi chatkami, ocienionemi starodrzewem. Puściliśmy tropowca, który przebiegł ciasny gąszczyk, i wyszedł do nas oznajmiając ogonem, że tu nic niema, wzięliśmy go więc na łańcuch i podprowadzili pod drugi gąszcz.

Niedźwiedzia wietrzy pies z dalekiej odległości, ledwie nam Zagraj zniknął z oczów, już zamruczał, zaskowyczał i począł naszczekiwać. Biegnę na zbocz, za mną goni leśniczy, łapie mnie i mówi: „Zostań pan, przecież on do wsi nie pójdzie!“ Zostałem wbrew memu instynktowi, i srogo mnie za to ukarał patron nasz Hubert. Scena odegrała się na przestrzeni może piętnastu morgów, a jawna i widoczna w całym swym przepysznym obrazie. Psy ujadają w gąszczu, posuwają się ku mnie, i w tej chwili widzę wytykającego misia do podrośniętego lasu, tam siada na zadzie, zchyla się, podnosi kamyczki i gałązki, potrząsa łapami, jakby groził, i wreszcie ciska je na psy. Zabawna ta scena trwa już przez kilka minut, ja biję się z myślami, czy się do psów podkradać, czy czekać, pomny słów leśniczego. W tej chwili konie moje, stojące opodal, parskać i rżeć poczęły, niedźwiedź się podniósł na tylnych łapach, jak to czasem rozciekawiony zając czyni, i pędem ucieka otoczony psami na ubocz. Struchlałem w martwocie, z której mnie zbudził głos leśniczego: „Biegaj pan, on pójdzie zaraz na drzewo!“ Pobiegłem i przekonałem się, że niedźwiedź lepiej biega odemnie, kiedy ja bowiem byłem na połowie uboczy, on już się znajdował na polu i dążył do wsi prosto między chaty. Niedźwiadek ten zostawił mi najuciesznie wspomnienia, gdyż naprzód zbierał kamyczki, rzucał na psy i tem je drażnił, następnie galopując z lewej nogi, kiedy się który pies przybliżył, uderzał go łapą i zawsze przewrócił, a drugiego prawą łapą walił, a tak to zręcznie robił, iż w biegu wcale nie ustawał. Uderzenia te musiały być silne, dwa psy bowiem skomląc żałośnie z zwieszonymi ogonami i zawstydzonemi fiziognomiami powróciły do mnie, i już się nie dały do dalszej pogoni nakłonić. Ja biegnę w miarę sił i patrzę tylko, kiedy niedźwiadek drapać się będzie na drzewo, lecz on mija jedno, drugie i dziesiąte, przeskakuje płoty i poręcze, dąży do rzeki. Tu się chwilę zawahał, siadł, powstał, rzucił się w szumiącą po kamieniach wodę, przepłynął i przeszedł, otrząsł się na brzegu i piąć się począł pod stromą i skalistą ubocz. Moje trzy psy zalamentowały i wskoczyły do wody za niedźwiedziem. Widząc, że zwierzęta na środku koryta spłynęły, nie mogłem się puścić na wodę, byłby mnie prąd przewrócił, musiałem szukać kładki lub brodu. Tymczasem myśliwi nadeszli i oznajmili, że niedźwiedź musi być na drzewie, gdyż psy na miejscu się odzywają. Nie będę opisywał mej przeprawy przez wodę i mego drapania się pod górę, i Dante mógłby te męczarnie w swem piekle umieścić. Wreszcie słońce zapadło i niepożądany dla mnie zmrok zaciemniał las szpilkowy coraz więcej. Widząc to wytężam ostatnie siły i zdążam do psów na pięć kroków, ale niedźwiedzia dostrzedz nie mogę. Zażarte naszczekiwanie wskazuje mi bytność zwierza, mimo jednak wytężonego wzroku nic zobaczyć nie mogę. Suka wylazła na omszony łom i nachylona szczeka, jeden pies leży zmęczony i naszczekuje, trzeci skacze ze złości. Noc ciemna w świerczynie zapanowała, wreszcie nadchodzi mój *alter ego* w myśliwstwie, więc wskazuję mu kłodę, aby się na nią wydrapał i zaglądnął pod spód. Ślizga się i stuka o kłodę, a w tej chwili, istny upior, pędem błyskawicy wysuwa się niedźwiedź i ginie w gąszczu. Udało nam się psy połapać i wziąć na drążki, miały one pyski pełne kudłów z futra, a przecież go na drzewo nie napędziły. Dowód to, że niedźwiedź wyjątkowo tylko na drzewie szuka schronienia. Po raz drugi nie widziałem niedźwiedzia na drzewie i przekonałem się niejednokrotnie, że szuka raczej ochrony w fortecach, utworzonych przez łomy i tam jest dla psów najgroźniejszym.

C. d. n.

KORESPONDENCYE.

Z Warszawy w Marcu 1879.

Zachęcony tyle mi miłym listem sz. Redakcyi, z całą przyjemnością biorę pióro do ręki, by i z naszych choć dalszych stron dać znak życia i przesłać korespondencyę do „Łowca.“ Przedewszystkiem muszę wyznać otwarcie, iż jako prawdziwy zwolennik myśliwstwa, nie mało zazdroszczę Galicyi, iż ma swe Towarzystwo łowieckie, które posiadając własny organ może za pośrednictwem jego zaznajamiać ogół z swemi czynnościami i tym sposobem znakomicie oddziaływa na rozwój w kraju swym łowiectwa, które przy umiejętnem prowadzeniu nie tylko dostarcza myśliwym prawdziwej przyjemności, ale co ważniejsza, wpływa i bezwarunkowo wpływać musi na pomnożenie miejscowej zwierzyny, a co ma bez zaprzeczenia łączność z polepszeniem w tej gałęzi dobrobytu krajowego.

U nas łowiectwo w porównaniu z obecnem galicyjskiem — dziś jeszcze wieleby pozostawiało do życzenia, ale wyznać muszę, był czas, że ono już zupełnie chyliło się ku upadkowi, i gdyby nie nowe przepisy o polowaniu, zatwierdzone w roku 1871 dla Królestwa Polskiego — dziś możebyśmy bardzo mało lub wcale nie mieli miejscowej zwierzyny. Bicie sarn (kóz) od 1. Września do 1. Marca było dawniej dozwolone, łapanie zajęcy na w n y k i a kuropatw na sidła pomiędzy naszymi kochanymi włościanami było na porządku dziennym, nieumiarkowane i nieumiejętne szczucie zajęcy chartami, nie przez samych właścicieli lecz przez służbę dokonywane, omal nie wyniszczyło rodu zajęczego na zawsze, a cóż dopiero byłoby do powiedzenia o kłusownikach i strzelcach niedzielnych, dla których bicie ptaków i zwierzyny w czasie jej lęgu, stało się jedynem upodobaniem, ba nawet rzemiosłem.

Dziś mamy przepisy znacznie ostrzejsze, łanie i kozy wolno strzelać tylko od 1. Września do 1. Listopada, lecz gdyby i ta licencya została zniesioną, byłoby sarn daleko więcej. Podatek od chartów po rs. 15 od sztuki, zmniejszył ilość ich tak, że dziś trudno się z chartem spotkać, przytem obecnie wolno każdemu strzelać psy włóczące się po polu bez właściciela lub bez klocków na szyi w czasie lęgu zwierząt, za łapanie zaś zajęcy, kuropatw i t. d. są kary dość srogie, ale cóż, gdy nie wszyscy pojmują ważność i użyteczność przepisów — a to już wyłącznie od ogółu zależy. Gdyby ogół rękę przyłożył, i przestrzegając przepisów, winnych do odpowiedzialności pociągał, to u nas w okolicach, gdzie jeszcze są lasy, i grubszej zwierzyny byłoby więcej, a mniejszej, jak zajęcy i kuropatw, byłoby bardzo wiele, bo i tak już w powiatach w dobrej glebie położonych, jak w Kutnowskim, Łęczyckim, Gostyńskim, Łowickim, Skierniewickim, Sochaczewskim i wielu innych, kuropatw obecnie jest mnóstwo, ale na to nie tyle ochrona zwierzyny, ile ostatnie nie bardzo śnieżne zimy wpłynęły

Dla rozwoju tedy łowiectwa brakuje nam więc bardzo Towarzystwa łowieckiego, na wzór galicyjskiego, a Towarzystwo takie wielkieby oddało usługi łowiectwu. Ale prawda! toż i my mamy „K l u b m y ś l i w s k i“ w Warszawie, ale tyle tylko o nim powiedzieć można, że jest, co zaś robi i jakie są zasługi jego na polu łowiectwa, to doprawdy dla większej części myśliwych naszych, jest zagadką i tajemnicą, a tajemnicą może dla tego, że klub ten niema organu swego, w którymby głosił sprawozdania z swych czynności, i uwiadamiał o nich ogół. Podobno jednak klub ten wyjednał dziś istniejące przepisy o polowaniu, jeżeli tak jest w istocie, to należałoby mu się bez zaprzeczenia za to uznanie, ale to już lat ośm upły-

nęło od owego czasu, więc można było działalność swą rozszerzyć i więcej zasług położyć, bo pole ku temu otwarte.

Mieliśmy tu także przez jeden rok „Dodatek myśliwski“, który wychodził miesięcznie przy „Gazecie rolniczej“, wydawanej przez p. Święcickiego, lecz po roku przestał wychodzić. Mówią niektórzy, że zakończył swój żywot z powodu wyczerpania materjału, ja nie podzielam tego zdania, a na dowód stawiam pytanie, dla czego w innych krajach pisma takie z powodzeniem się utrzymują? Widać, że to należy do ogółu, bo ogół może tylko Pismo takie podtrzymać. Nie idzie tu bowiem wyłącznie tylko o wydarzenia myśliwskie, rzecz taka istotnie znudzić i wyczerpaćby się mogła, ale raczej o poważniejszą stronę naukową, która wiele dostarcza materyału nader pożytecznego, zwłaszcza jeżeli łowiectwo połączymy z rybołowstwem, pszczelnictwem i t. d. Prawda, że myśliwi w ogóle mają wstręt do pióra, i wolą czas swobodny przyjemności polowania poświęcić, nie przeczę temu, i ja zaprawdę wolałbym stać na stanowisku, jak maczać pióro w atramencie, ależ nie cały rok polujemy, jedno z drugiem przy dobrej chęci da się łatwo pogodzić, tylko o tę chęć idzie,

Na zakończenie mej korespondencyi, przywodząc sobie do pamięci odbyte różne polowania, pragnąłbym się z szanownymi myśliwymi podzielić wypróbowanym sposobem polowania na zające z pogonką, przy zachowaniu którego najwięcej ginie gachów (samców), a stosunkowo albo wcale lub mało bardzo samic. Urządza się to polowanie w taki sposób: Jeżeli miot brany na zakład ma, dajmy na to, długości jedną wiorstę, wtedy zalecić należy leśnym lub też tym z pogonki, którzy skrzydła prowadzą, aby nie dochodząc na $^1/_4$, a lepiej jeszcze na $^1/_3$ przestrzeni od zakładu do stanowisk, stawali i ściągnąwszy każdy ze skrzydłowych połowę nagonki, dochodzili z nią gęsiego bez hałasu do myśliwych. Tym sposobem osiągnie się niezawodnie wspomniony rezultat, i prawie napewne powiedzieć można, że ubite zające będą wtedy same gachy. Doświadczenie bowiem przekonało, że samice wynoszą się wolno przed samą pogonką, i dla tego to najwięcej strzałów pada w początku ruszenia obławy i na końcu, gdy ona się zbliża do linii myśliwych, w pierwszych strzałach na pewne padają samce, a w ostatnich samice. Prawda, że takie polowanie nie tyle robi przyjemności myśliwym, ale kto u siebie tego sposobu sprobuje, ten w kilku latach ogromną różnicę w ilości zajęcy dopatrzy. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że im mniej w danej okolicy będzie zajęcy samców, tem lepiej samice rodzić będą, wszak nieraz nam się widzieć zdarzało, szczególniej na wiosnę po 4, 6, a nawet po 8 i więcej gachów goniących za jedną samicą, co na jej bezpłodność wielce wpływa. Sposób przezemnie podany szczególniej w miesiącach Grudniu i Styczniu z powodzeniem da się zastosować, to jest wtedy, gdy koty są czulsze i dalej pomykają. Radbym, aby ci, którzy sposobu tego u siebie użyją, zechcieli o rezultatach dawać do Łowca sprawozdanie z oznaczeniem, ile padło na polowaniu takiem gachów, a ile samic. *Artur Śliwiński.*

Podkamień 18. kwietnia 1879.

Tegoroczny wiosenny ciąg słonek był prawdziwą niespodzianką dla naszych myśliwych, którzy jak co roku, tak i teraz z gorączkową niecierpliwością oczekiwali przybycia zamorskich wędrowców. — Zwątpienie wszystkich opanowało, gdy po łagodnych dniach w Lutym, w Marcu rozsiadła się zima na nowo, i z całą grozą swojej potęgi, przy silnych mrozach i zawierzuchach, białym całunem okryła ziemię, a zarazem gotującą się do lęgu czworonóżną zwierzynę i przybyłe wiosenne ptactwo. Byliśmy przekonani, że i słonki gdzieś w drodze uległy katastrofie, ale widać, że przyroda obdarza tych wędrowców kalendarzami choć nie drukowanymi, ale lepszymi od naszych. Ciąg tegoroczny, choć spóźniony, do najobfitszych zaliczonym być może. Z rozmaitych stron kraju naszego dochodzą nas wieści o niezwykłych rezultatach polowań wiosennych.

Nasi bracia w Nemrodzie nie zaniedbali przysłać swe sprawozdania do Redakcyi „Łowca“. Tu donieść musimy o niezwykłem polowaniu, odbytem w Olejowie u hr. Kazimierza Wodzickiego w pierwszych dniach kwietnia. W trzech dniach ubito w 3 myśliwych 92 słonek. — Olejów od lat wielu słynie z rezultatów nigdzie indziej dotąd niedoścignionych w tym względzie. Przypisać to należy po części pomyślnemu położeniu tej miejscowości, ale głównie zamiłowaniu i wzorowej organizacyi myśliwstwa samego właściciela. Bez wszelkiej przesady twierdzić można, iż każda niemal zapadła słonka w lasach Olejowskich przez czujną tamtejszą straż leśną wypatrzoną bywa tak, iż prawie co do jednej sztuki stan znajdujących się się tam ptaków, przed polowaniem myśliwym jest wiadomy.

Z powodu tegorocznych wiosennych polowań, słyszeliśmy już kilkakrotnie głos oburzenia wyrywający się z piersi wielu zamiłowanych myśliwych naszych, głos, który jak najchętniej powtarzamy, podzielamy i pragnęlibyśmy, ażeby „Łowiec“ był echem tego głosu. Oto zaczęły się odzywać zdania, iż byłaby pożądaną ustawa zabraniająca na wiosnę polowanie na słonki. Nie przesądzamy o ile podobna ustawa przyczyniłaby się ku pomnożeniu w kraju naszym słonek w jesieni. Śmiałbym twierdzić, iż bardzo mało lub wcale nie. Te miliony wędrownych ptaków ciągnących z wiosną z azyatyckich lub afrykańskich wybrzeży daleko na północ, podlegają bezustannie wpływom klimatu i prądom wiatru, czego dowodem tak niestały ich przeciąg w różnych okolicach. Są bowiem lata, w których w niezmiernej ilości czy z wiosną, czy w jesieni zapadają w naszych lasach, w innych znów latach skąpym tylko zasilają nas kontyngensem. Mała stosunkowo liczba gnieździ się w naszych lasach i górach, a i ta młódź, zaledwie do lotu zdolne ptaszęta, już opuszczają zaraz swoją siedzibę. Słonka jest niestrudzonym, wiecznym turystą, i jej popasy w naszej środkowej Europie zawsze są krótko trwające. Jako ptak niepokojem wiecznym trapiony, i nigdzie dłuższy czas nieprzebywający, ma też słonka najwięcej nieprzyjaciół w świecie myśliwskim, to jej usposobienie najwięcej jej daje uroku w oczach łowca. To też w całym świecie, z małymi wyjątkami, oczekują myśliwi o każdej porze przybycia oczekiwanych gości, wypowiadają mu walkę zaciętą, a pomimo tego nie widać wcale, by stan tych ptaków ubywał, czego świadectwem tegoroczny tak obfity ich najazd na nasz kraj. We Francyi, Włoszech, a nawet w Niemczech, gdzie myśliwstwo na najwyższym stoi stopniu, wiosenne polowania na słonki są ulubionym sportem. Czyż my pierwsi i jedyni prawie w środkowej Europie mielibyśmy tak bolesną a nieużyteczną ponieść dla drugich ofiarę? Czyż my znowu i w tym kierunku mielibyśmy się oddać na całopalenie dla naszych najdalszych sąsiadów, którzy przez nas oszczędzane słonki w większej ilości u siebie strzelać będą? Pięknie brzmią te wyrazy: ofiara, poświęcenie dla drugich i t. d., ale zapytam śmiało, czyż nie mamy ich już dosyć? Gdyby ustawa, ochraniając słonki na wiosnę, była prawomocną we wszystkich innych krajach, nie miałbym nic przeciw jej zaprowadzeniu i u nas, ale nie my chcemy być pierwszymi i jedynymi prawie przedstawicielami zasady, która nie nam, lecz innym, a prawdopodobnie nikomu, wyszłaby na pożytek. Czyż ci, którzy tak bu-

manitarnie postąpić sobie pragną z ogółem naszych europejskich, azyatyckich i afrykańskich sąsiadów, pomyśleli, jaką bolesną krzywdę wyrządziliby tym projektem swoim braciom myśliwym? Gdy zakończywszy zimowe łowy myśliwy ze smutkiem zawiesza strzelbę na kołku na długi przeciąg czasu, a nie ma szczęścia mieszkać w okolicy, w której tok głuszca lub cietrzewia przysporzyć mu jeszcze może na wiosnę jakiejś rozrywki, to jedynie pierwsze chrapanie ciągnącej słonki budzi go z tego letargu. Któż z myśliwych nie doznał rozkoszy, którą daje ten luby dźwięk tak długo oczekiwany? Znam myśliwych, których ta chwila jest główną epoką życia łowieckiego, którzy te chwile oczekiwania, pełnego poezyi, przenoszą nad wszelkie inne łowy. Czyż tej rozkoszy mielibyśmy się pozbywać dobrowolnie? Dla czego? Dla tego, ażeby jakiś Egipcyanin, Szwed lub Niemiec o kilkadziesiąt słonek więcej zastrzelił? A gdyby nawet (czego nie przypuszczam) i u nas nieco więcej słonek w skutek tego przybyło w jesieni, czyż jedna słonka przez stęsknionego za zwierzyną myśliwca zabita na wiosnę, o wiele więcej nie ma uroku od dziesięciu słonek zabitych w jesieni, kiedy już każdy miał sposobność nastrzelać się do syta do innej zwierzyny? Czyż zresztą myśliwstwo nasze tak miałoby upaść, iż nasi prawdziwi łowcy nie potrafiliby przenieść uroku rzadkiej zwierzyny nad hekatomby, które zabawić tylko mogą niedzielnych strzelaczy? Czyż prawdziwy łowiec nie patrzy z pewnym wstrętem na owe jatki, w które przemieniają nasze knieje, czyniąc z nich istną rzeźnię na pół domowej zwierzyny? Nie! co się tyczy polowania na słonki, przekonani jesteśmy, że się podniosą liczne poważne głosy naszych myśliwych, i projekt podobnej ustawy bezwzględnie potępią. A jeżeli projekta podobne powstawały, przekonani jesteśmy, że one płynęły z najlepszych chęci, jak to u nas zawsze bywa, ale z domieszką znanej u nas w takich razach exaltacyi zbytecznej. Kwestya łowiecka jest u nas na porządku dziennym, jest teraz w modzie. Daj Boże, by to potrwało jak najdłużej! Ale lękać się wypada, by ten zapał, jak zwykle nie ostygł za prędko, i ażeby moda nie minęła. Pierwszy zapał u nas zwykle silny, tak w pierwszych chwilach wzięliśmy się z zapałem do przestrzegania ustawy łowieckiej, a żeśmy skorzy do tworzenia sobie nowych teoryi, więc i tu chcielibyśmy nową jeszcze utworzyć. Ale czy praktyka odpowie, czy wytrwałość nadal posłuży? Zobaczymy. Nasza ustawa łowiecka tak jest surową, w niektórych względach za surową może, skoro nawet lisy wzięła w swą opiekę. Przestrzegajmy ją tylko praktycznie i wytrwale, a gdy ona owoce wyda, to czas będzie tworzyć sobie nowe teorye. Odwróćmy więc oczy od wiosennych słonek, tych chwilowych naszych przybyszów, a całą siłą zabierzmy się do ochrony stałych mieszkańców naszego kraju. Niech jelenie, sarny, zające, głuszce, cietrzewie, kuropatwy należytej doznają naprzód opieki. Wyniszczajmy drapieżne zwierzęta i ptaki, czuwajmy, by kłusownictwo tak nie grasowało. Niech urzęda nasze nie wydają licencyi na broń nieuprawnionym do polowania. Posiadanie strzelb u chłopów naszych jest bowiem drogą najwyższej demoralizacyi. Włościanin ze strzelbą w ręku zaniedbuje swoje obowiązki, powoli przyucza się kłusowniczego rzemiosła, uczy się nieszanowania cudzej własności, i staje się niszczycielem zwierzyny w całej swej okolicy. Smutny tego widzimy przykład w Stryjskiem. U ujścia Świecy do Dniestru ciągną się znaczne pasma lasów, które z dawna słynęły z bogactwa w zwierzynę. Przed niewielu jeszcze laty słynne tam wyprawiano łowy. Dziś gdy w całym kraju stan zwierzyny tak się znacznie podniósł, w całej tej okolicy najsmutniejsze widzimy pojawy. Szajki kłusowników rok cały wyniszczają te knieje, sarny, zające do szczętu prawie wytępione, gdzie niegdzie tylko dzik wędrowny zatrzyma się przez chwilę, ale zaniepokojony przez kłusowników dalej pomyka. Leśniczowie i gajowi sami przykład dają, i w Marcu z psami polują na zające, a błądzące jeszcze gdzieniegdzie sarny o każdej porze roku, bez różnicy płci strzelają. Czyż takie lekceważenie ustawy nie jest karygodne? Czyż nie jest obowiązkiem urzędów czuwać nad tem, ukrócić te nadużycia i kłusowników rozbroić? Powtarzamy więc jeszcze, zostawmy na teraz nowe teorye, mniej się zajmujmy wędrownymi ptakami, a ochraniajmy stałych mieszkańców naszego kraju. *S.*

Stary Sącz, 7. Kwietnia 1879.

Na poparcie moich uwag, umieszczonych w 2 Nrze „Łowca“, a odnoszących się do posiadania broni palnej przez włościan przytaczam fakt następujący:

Dnia 26. Marca b. r. w domu Wojciecha Ciągło, gospodarza gruntowego we wsi Mostków o 4 kilometry od Starego Sącza odległego, kręcił Michał Job, lat 45 mający, parobek W. Ciągło wraz z drugim parobkiem Józefem Witowskim, 21 lat mającym, cienkie powrózki. Po skończonej robocie, a było wtenczas około godziny 11 rano, usiadł Witowski na stołku, Job zaś wziął strzelbę, która za łóżkiem w kącie stała, a sądząc, że takowa nie jest nabitą, począł ją oglądać. Naraz strzelba wypaliła, a Witowski spadł ze stołka i krew zaczęła mu się lać z głowy. Job przelękniony bardzo, wyszedł z izby i natychmiast doniósł o całem nieszczęśliwem zdarzeniu tutejszemu sądowi. — Komisya sądowo-lekarska udała się na miejsce czynu celem zbadania rany Witowskiego. Lekarze oglądnąwszy ranę orzekli, że takowa znajduje się z boku głowy, powstała w skutek strzału, że śrót cienki (dunst), którym strzelba była nabita, jest wraz z pakułami i kawałkiem czaszki w głowie Witowskiego, że operacya jest niemożliwą z powodu, iż mózg z głowy wygląda, że rana znajdująca się w głowie Witowskiego jest bezwarunkowo ciężkiem uszkodzeniem ciała, życiu zagrażającem, i że nieszczęśliwy w krótkim czasie życie zakończy. Witowski dotąd żyje, przesłuchanym być nie może, albowiem leży nieprzytomny.

Ileż to podobnych wypadków zdarza się we wsiach, niedochodzących do wiadomości władz.

Według mojego zdania winien nasz włościanin niemający prawie żadnej oświaty stać pod szczególną opieką ustawy (§. 21 U. C.), albowiem śmiało o nim rzec można, że nie jest w stanie przewidywać skutków swoich czynności. — W takim stanie rzeczy winna ustawa odebrać włościanom wszystko, co tylko zagraża ich zdrowiu, życiu i mieniu, a więc włościanin:

1. nie powinien posiadać broni palnej i rzeczy explodujących;
2. nie powinien być zdolnym do działań wekslowych;
3. nie powinien bez zezwolenia władz sądowych lub politycznych zaciągać znacznych długów na grunt, takowy sprzedawać lub dzielić;
4. każdy kontrakt, który ma za przedmiot rzeczy wartości przeszło 50 zł., lub taką samą kwotę pieniężną, winien pod rygorem nieważności u miejscowego notaryusza, w formie aktu notaryalnego zdziałać;
5. pod nieważnością winien sporządzić swoje rozporządzenie ostatniej woli przed sądem lub przed miejscowym notaryuszem;
6. w końcu powinna być zaprowadzona dla włościan odrębna procedura sądowa, odpowiadająca stosunkom terytoryalnym, materyalnym, oświaty, zwyczajom i obyczajom na wzór postępowania o drobne pretensye.

Z własnego doświadczenia wiem, że nasz włościanin ceduje swój grunt po kilka razy różnym osobom. Jeżeli ma n. p. czterech synów, to dla każdego robi cessyę u pokątnego pisarza na grunt, tę cesyę zmienia znowu w testamencie, zapisuje dzieciom swoim to, co tytułem dożywocia posiadał i t. d.

Oczywiście z tego powstają między rodziną zajadłe procesa, z powodu rozwlekłej procedury lata trwające, które to procesa często jak wiadomo, tragicznie się kończą. Otóż tutaj trzeba szukać głównej przyczyny lichwy, pijaństwa, upadku gospodarstw włościańskich, wywłaszczeń i t. d.

Sądzę, że wtedy tylko można nadać naszemu włościaninowi wolność, gdy będzie należycie do tego przysposobiony, gdy będzie umiał dobrze korzystać z nadanej mu wolności. Swoboda u nieoświeconego, to miecz w ręku szalonego, trzeba pierwej włościanina naszego oświecić, aby mógł rozumem swoim przekonać się o swych obowiązkach, o dobrem użyciu czasu, o potrzebie pracy, o wstrzemięźliwości względem zdrowia i majątku i t. d., a potem nadać mu wolność.

Przepraszam, że za daleko odbiegłem od rzeczy do „Łowca“ należących — *scripsi et salvavi animam meam.* *J. S.*

KRONIKA.

Bilcza 25. kwietnia 1879.

Z powodu spóźnionej wiosny tegorocznej, ciąg słonek był nieregularny. Pierwszą szpicę spostrzegłem d. 13. Marca w rewirze Łanowieckim, później nie widziałem ani jednej słonki przez cały Marzec. W drugiej połowie Marca spadł wielki śnieg, który leżał przez cały tydzień. Temperatura znacznie się oziębiła, wody zamarzły, a biedne bociany, które do nas przybyły, ginęły z głodu i zimna.

Dnia 7. Kwietnia powietrze znacznie się oziębiło, i w tym dniu spostrzegliśmy pojedyńczo słonki w rewirze Bilczeckim, a d. 8, 9. i 10. ciąg był nadzwyczajny, prawie co kilkadziesiąt kroków w młodych zapustach porywała się słonka. Dnia 11. na ciągu wieczornym widzieliśmy tylko 8 sztuk. W tym samym czasie w rewirze Cygańskim i Łanowieckim ledwie kilka sztuk można było słyszeć wieczorem. W rewirze Jezierzańskim przez całą wiosnę słonek nie było.

Z powodu bardzo ciepłych dni w ostatnich dniach Lutego (+ 10 stopni) parkotnia zajęcy odbywała się raźno. Śnieg, który spadł w drugiej połowie Marca, głębokości 32 cm., wyniszczył młody płód. W pierwszych dniach Kwietnia powietrze się ociepliło, i od tego czasu zające uganiają parami po polach w nocy i w dzień. Widoczne, iż pragną powetować stratę płodu w pierwszej parkotni. *S. Piotrowski.*

Skała 24. Kwietnia 1879.

Proszę przyjąć i moich kilka uwag w łamy miłego nam „Łowca“.

Od czasu, jak dziki w ostatnich latach w tutejszych lasach nader się rozmnożyły, jest stan zajęcy tak lichy, że je nie na dziesiątki, lecz na pojedyńcze sztuki liczyć możemy, i to urodzonych i wychowanych w polu, a szukających w porze śniegów pożywienia i przytułku w lesie.

Lasy Skalskie graniczą z lasami klucza Bilczeckiego, a że korespondent z Bilcza w Nrze 4 „Łowca“ sam przyznaje, iż w roku zeszłym ubito na polowaniu 600 sztuk zwierzyny, więc i owa rzeź przyczyniła się wielce do obecnego lichego zwierzostanu. Tak w lasach Skalskich, jakoteż w Cygańsko-Łanowieckim i Łosiackim, chcąc stan zwierzyny podnieść, powinniśmy zwrócić uwagę na wzgląd podwójny: 1. iż tylko w połączonem polowaniu po wytropieniu dzików na białej stopie dojdziemy do celu; 2. że winniśmy zaniechać walnych łowów na zające przez lat trzy. Jeżeli tych warunków przestrzegać nie będziemy, to zapewniam sz. korespondenta z Bilcza, że ani słodkiem sianem, ani lizawkami, ani koniczyną, ani dziesiątkami hektolitrów owsa, ani racyonalnem czy nie racyonalnem prowadzeniem cięć, zwierzostanu w naszych lasach nie podniesiemy. *M. Ostrowski*, Nadleśniczy.

P. R. Ile nam wiadomo, polowanie w Bilczy jest uregulowane i niema obawy, iżby ono zwierzostan wyniszczyło. Różnica bogatszej fauny łowieckiej w rewirach Bilczeckich a Skalskich, wynika zapewne właśnie z owych przynęt dla zwierzyny, ktore sz. korespondent zdaje się lekceważyć. Wyrozumiałość sąsiedzka, zgodność w metodzie postępowania, wreszcie staranne i umiejętne, o ile możności wspólne pielęgnowanie i prowadzenie łowów, niezawodnie doprowadzą do pomyślnych rezultatów.

Według wykazu udzielonego nam przez Św. Magistrat Lwowski przytrzymano na rogatkach w r. 1879 do 19. Kwietnia wbrew ustawie łowieckiej wprowadzoną zwierzynę, a mianowicie: sarn 5, zajęcy 10, kuropatw 25, jarząbka 1. Do kasy ubogich wpłynęło ze sprzedaży tejże zwierzyny 39 zł. 13 ct. — Z wykazu tego widzimy, że przestępstwa ustawy łowieckiej widocznie się zmniejszają, i mamy nadzieję, że wkrótce nader rzadkiemi będą. Winniśmy tu wyrazić dzięki za popieranie celów naszych c. k. Starostwom, Św. Magistratowi Lwowskiemu, c. k. Urzędowi pocztowemu, który niejednokrotnie już wykroczenia tego rodzaju do odpowiedzialności pociągał, — wreszcie c. k. żandarmeryi.

Kopeczyńce 10. Kwietnia 1879.

Ze 143 słonek przez nagonkę na myśliwych napędzonych, ubito na 119 strzałów 96 sztuk. *F. S.*

Hr. Roman Potocki zasadził i zabił w Szepetówce, na Podolu rosyjskiem, d. 13. b. m. trzy głuszce.

Wielkie są zasługi naszego znakomitego badacza przyrody i profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, Dra M. Nowickiego Znane i wielce cenione są jego naukowe prace nie tylko u nas, ale też w całym niemal naukowym świecie, gdzie nasz przezacny profesor jest członkiem licznych towarzystw przyrodniczych. Należny hołd złożyć trzeba jego sumienności w badaniu, żelaznej wytrwałości w pracy, poświęceniu dla dobra powszechnego, czego mamy nowy dowód w dokonanem świeżo przez niego zarybieniu naszych rzek. Dzienniki krajowe szeroko opisały ów akt pełen znaczenia dla naszego gospodarstwa krajowego, my dołączamy krótką korespondencyę:

Stanisławów 10. Maja 1879.

Dnia 27. Kwietnia 1879 odbyło się tutaj zarybienie Bystrzycy nadworniańskiej łososiami przez Dra M. Nowickiego, profesora uniwersytetu Jagiellońskiego wobec licznie zgromadzonej publiczności. Narybek liczący kilka tysięcy sztuk młodziutkich łososi wpuszczono po obu stronach mostu. Przyczem upomniano rybaków, aby nie łowili łososi, pozwolili im się rozmnożyć, a szczególnie powstrzymywali tych, którzy łapiąc ryby płótnem, i najdrobniejszy nawet narybek z wielką szkodą wyławiają. Oby uchwała Sejmu krajowego jak najrychlej rybołowstwo krajowe uregulowała! *M.*

Wiedeńska „Jagdzeitung“ następny daje opis wspaniałego pochodu łowieckiego w d. 27. Kwietnia na cześć 25letniej rocznicy zaślubin Najjaśniejszych Państwa:

Wspaniałe grupy: „Historyczny pochód myśliwski“ „łowów gorskich obecnej chwili“, które w dniu 27. oko kroci tysięcy cudzoziemskich i swoich widzów zachwycały i radowały, należy odnieść, jak naszym czytelnikom wiadomo, do postanowienia niższo-austryackiego Towarzystwa łowieckiego, które w skutek zapytania komitetu pochodowego Rady gminnej, czując się zbyt słabem, iżby ze swego łona mogło dział łowiecki godnie reprezentować, uchwaliło rozesłać zaproszenia do znakomitych członków arystokracyi w celu dokonania tego przedsięwzięcia z ich współudziałem i pomocą. Tak się też stało, i tym sposobem utworzone zostały zamiast jednej, dwie grupy, a że one tak świetnie wypadły, należą się przedewszystkiem gorące dzięki usiłowaniom księcia A. J. Schwarzenberga, hrabiów: Wilczka, Breuera i Edmunda Zichy'ego, przejętych najchętniejszą ofiarnością dla historycznego pochodu, jakoteż hrabiom: Meran i Lichnowsky'emu, panu Zinner, książętom: Windischgraetz, Schoenburg i Rosenberg, zajmującym się gorliwie nowoczesnym pochodem łowieckim. Jak trudy księcia Schwarzenberga wspierane były przez hrabiów: Wilczek, Breuner i Zichy, tak również niósł książe Hugo Windischgraetz nader skuteczną pomoc hrabiemu Otenionowi Lichnowsky'emu i panu Zinnerowi, prezydentowi i wiceprezydentowi wiedeńskiego centralnego komitetu, zajmującym się urządzeniem grupy łowiectwa górskiego nowszych czasów. Książe Schwarzenberg ofiarował ogromną salę swego pałacu, w której wielce zasłużony artystyczny doradzca, malarz historyczny Fux w ciągu kilku tygodni całą armiją krawców i szwaczek komenderował, kostiumy rysował, na próbę strzelców ubierał i t. d.

Niemniej chętnie udzielił ks. Schwarzenberg obszerne lokalności na skład różnorodnych przyborów myśliwskich, a czynność jego i ofiarność godne są najgorętszego uznania. Postarano się o nadanie grupie łowieckiej prawdziwej cechy historycznej tem, iż powierzono ułożenie programu znakomitemu znawcy strojów historycznych, panu Kwirynowi Leitner, a nad ścisłem wykonaniem tego programu czuwał hr. Wilczek. Wóz pochodowy budował i ozdabiał również członek komitetu, rzeźbiarz Zumbusch w pałacu ks. Schwarzenberga, a przeważna ilość posiedzeń odbywała się w rezydencyi tego księcia, który nadto dostarczył do pochodu najwięcej zwierzyny.

Hrabia Wilczek ofiarował łowy na kozice, on też i hr. Breuner dali wielką mnogość autentycznych zbroi i t. d. Mimo wielkich kosztów, jakie na urządzenie grupy łożono, pozostanie prawdopodobnie nadwyżka, która na korzyść nieszczęściem przygniecionych w Dux, jakoteż na dobroczynny cel łowiecki użytą będzie. Już odbyta we środę przed tygodniem festynowym próba, kazała się spodziewać, że grupa łowiecka, jeżeli nie najświetniejszą, to pewnie jedną z najświetniejszych będzie.

Z tą samą niezmordowaną, możnaby powiedzieć gorączkową usilnością, pracowano nad grupą łowów górskich nowszych czasów. Hr. Lichnowsky i pan Zinner odbywali w tym celu małe podróże, równie też hr. Meran, książęta Windischgraetz i Rosenberg; układano się z dyrektorami kolei żelaznych; wynajęto odpowiednie umieszczenie dla spodziewanych łowców i t. d. Zaprawdę nie łatwą było rzeczą sprowadzić z okolic alpejskich około 500 myśliwych i zapewnić im byt. Ponieważ dla tej grupy sprowadzono niedouwierzenia mnogą ilość świeżej zwierzyny, wywołała zwłoka festynu, wynikająca z niepomyślnego powietrza, przykre usposobienie między urządzającymi ową grupę i łowcami. Ponury ów nastrój duszy ożywił jakoby promieniem słońca świetny bankiet urządzony przez komitet centralny w Piątek o godzinie 5. popołudniowej w hotelu „Lamm.“

Z grona uczestników wymieniamy hr. Meran, prezydenta komitetu, hr. Otoniona Lichnowsky'ego-Werdenberg, książąt Rosenberga, Schoenburg, Hugona Windischgraetz, Montenuovo, hrabiów Bellegarde, Festetics, Hardegg, Lamberg, Sternberg, barona Rothschild, wiceprezydenta pana A. Zinner, posłów Dumbę, barona Sessler-Herzinger i barona Mayr-Melnhof. dyrektora Schülera, szefa sekcyjnego Czedika, dyrektora Morawetza i sekretarza prezydyalnego Meisnera. — Wielka sala ozdobioną była pięknie sosniną, palmami i rogami a całe menu odpowiadało świetności domu i rodu gospodarza. Panowie po większej części mieli na sobie strój łowiecki. Gdy w puharach zaszumiał szampan, powstał hr. Lichnowsky i wniósł podniesionym głosem toast na cześć cesarza, jako najdostojniejszego myśliwca, któremu łowcy całej Austryi winni wdzięczność, miłość i wierność, wdzięczność, iż postawił łowy górskie na obecnym świetnym szczycie, wiarę, boć w górach żyje ona i tam bije w sercach żywe tętno prawdziwej miłości ku Najjaśniejszemu Panu łowów. Po trzykroć „Niech żyje!“ wtórowało jego przemówieniu. Z następnych toastów godne są wspomnienia: hrabiego Meran, na cześć hr. Lichnowsky'go, tyle gorliwego prezydenta komitetu; księcia Hugona Windischgraetz na cześć hr. Meran, godnie idącego za tradycyą swego dostojnego ojca; księcia Rosenberg na cześć tak usilnie na korzyść grupy działającego p. Zinnera; ks. Schoenburg na cześć reprezentantów kolei; hr. Bellegarde na cześć miasta Wiednia. Wszystkim owym toastom towarzyszyły głośne okrzyki współudziału. Bankiet był nader ożywiony i zakończył się przed godziną 8. Muzyka wojskowa, umieszczona w podwórzu hotelowem, przygrywała nieustannie.

Niebo się wyjaśniło, postanowiono zatem odbyć pochód festynowy w niedzielę, wszystkich serca ożywily się radośnem oczekiwaniem tej chwili, a to wesołe usposobienie podniosła jeszcze uczta, odbyta w salonach pod „złotym sierpem“ na Paniglgasse.

Strzelcy i pasterki z wyższej Austryi, Styryi, Karyntyi, Salzburga, Tyrolu i t. d. mający wziąć udział w pochodzie, zgromadzili się tam, zaproszeni przez urządzających pochód panów, z których większa część osobiście na tę ucztę przybyła. Gdzie się pojawią dzieci Alp, tam pewnie nie zabraknie pieśni. Niejedna piękna piosnka, niejeden jodler zabrzmiał przy odgłosie ustnej harmoniki, tej nieodstępnej towarzyszki mieszkańca Alp. Stokrotne „*Juchhe!*“ dały się słyszeć, gdy wniesiono szampana, a salzburscy fletniści do tańcu wezwali. Wnet dzielne pary krążyły w koło, Stejer i Ländler zmieniały się kolejno, a uciechy nie było końca. Nie jedna odezwała się serdeczna a prosta przemowa, nie jeden toast wniesiono, a niejeden specyalista wiejskiej, rodzimej sztuki, zbierał rzęsiste oklaski, jak n. p. ów spalony od słońca łowiec, który z prawdziwam mistrzowstwem naśladował grającego cietrzewia. Najwięcej składano owacyi staroście z Salzburga, hr. Lamberg i jego małżonce, którzy w strojach myśliwskich na uczcie się pojawili. Uczta skończyła się dobrze po północy, a chłopcy i dziewczęta nieraz w samotnej chacie alpejskiej wspomną, jak wesoło goszczeni byli w stolicy wiedeńskiej.

Nakoniec zajaśniał poranek pochodu festynowego, a z nim wypogodzone niebo i promień słoneczny. Zaprawdę dzień to był ciężki dla panów urządzających grupę. Nader zajmujący obraz przedstawiał oku już rano dom gościnny *„pod ptakiem lodowatym“* w Praterze, gdzie się zgromadziła znaczna część przystrojona pochodu łowieckiego w strojach myśliwskich, w celu pokrzepienia się smaczną przekąską na trudy kilkogodzinne. Między wszystkimi odznaczali się tak ceną wysoką i wytwornym smakiem przystrojenia, jakoteż męską pięknością i siłą hrabiowie Breuner i Wilczek. Otoczyli ich kołem uczestnicy pochodu. Na stołach, na których zwykle w niedzielę filistry w cylindrach i frakach używają rozkoszy życia, cisnęły się dzisiaj świetne, barwne postacie, gdzie kramarz rozkłada swoje wędliny, tam sokolnicy sokoły swoje rozłożyli. Obok szlachcica w stalowym hełmie, obok aksamitnego kapelusza z szeroką krezą i z powiewającym pióropuszem, obok misternie rzeźbionego w kości słoniowej rogu, obok aksamitnej szaty bogato złotem bramowanej i prawdziwej przez możnych przodków przekazanej zbroi — stanęli psiarze ze swemi sforami i straż lasowa a był to zaiste obraz godny pendzla mistrza-artysty. Mianowicie niektórzy łowcy kozic, już dawno przeszło siedmdziesięcioletni, których włos śnieżysty spływał z pod stalowego hełmu, byli niezawodnie godni uwagi prawdziwego mistrza. Nieogolona, ponura twarz jednego z nich nadawała się nie mniej do ramy takiego obrazu, jak radośne, dobroduszne, ożywione rysy innego starca, który jak inni w szarem ubraniu, doskonałym napojem się raczył. Łuki, kusze, kordelasy, sieci i żelaza łowne uzupełniały ów przepyszny obraz. Uciesznie wyglądało, gdy który z owych średniowiecznych łowców zapalił sobie cygaro, lub szkiełko wcisnął w oko, ocienione szerokim aksamitnym kapeluszem.

Gdy wreszcie pojawił się ów historyczny pochód łowiecki na *„Jägerzeile“*, zapowiedziany odgłosem rogów — wtedy cała publiczność cisnęła się naprzód, aby podziwiać wspaniałe stroje i zbroje, a zarazem charakterystyczną piękność męskich postaci. Zbliża się olbrzymi jeździec na dzielnym ogierze siwym, przed nim kroczą, sztandar św. Huberta niosąc, dwaj łowcy w przyłbicach i w aksamitnych biretach. Już pochód łowiecki pojawia się cały, a na czele wyniosła postać naczelnika łowów kozicowych hr. Wilczka st., w zielonym, obszernym stroju myśliwskim, za nim postępują łowcy kozicowi w szarozielonem ubraniu, w żelaznych hełmach z długiemi szablicami, różnorodnemi łukami, kołczanami, rohatynami, rusznicami i tym podobnymi przyborami. Również zbroje i przybory łowieckie używane do łowów niższego rzędu, które przewódzcy i łowcy w następnej grupie nieśli, będą, osobno umieszczone, stanowić nader cenny zbiór. Szczególnie starannie opatrzoną w mordercze narzędzia była grupa łowców na jelenie, którą prowadził hr. Breuner, z brodą długą, istny Goliat wzrostem i siłą. Hrabia był najcharakterystyczniejszą postacią, jaką dzisiaj widzieliśmy, w szerokim aksamitnym birecie, w zielonem ubraniu myśliwskiem, z autentycznymi przyborami myśliwskimi. W sforach pięknych tropowców, przyłączonych do tej grupy, najbardziej nam się podobał pies żółty, z czernym nosem i pyskiem zfałdowanym. Ludzie po większej części rośli i okryci tak zwaną maxymiliańską przyłbicą, w szaro zielonym stroju, byli uzbrojeni w róznorodne zbroje łowieckie ówczesne. Niektóre z tych zbroi były z wielkim smakiem przerabiane. Przed wozem tryumfalnym, na którym król łowów siedział, jechał dentysta Berghammer w bogatym stroju, na wspaniałym siwoszu. Zbudowany przez Zumbuscha wóz, odznaczał się subtelną pięknością swych kształtów i charakterystycznemi ozdobami, a konie, które go ciągnęły, wspaniałym rzędem. Siodła i rzemienie rumaków, pierwsze aksamitne, drugie z barwistej skóry, nacechowane były ściśle stylem czasów maxymiliańskich. Uprząż wyrobioną była według staroniemieckiego stylu ze skóry safianowej i wykładana suknem zielonem. Chomąty wzniesione były na wysokich drzewcach, zakończonych w głowy potworne. Wszystko było bogato złotem wykładane. Na sprzączkach i tarczach wyciśnięto łby lwie i sowie. U chomątów zwieszały się skóry borsucze i frendzle. U przodu wozu wyglądał jakby z gąszczy zielonego krzewu potężny łeb odyńca, nad nim podnosiła się szlachetna postać Diany, jaśniejąca czystem srebrem, a nad jej głową skrawek księżyca, w prawej ręce trzymała złocony łuk, w lewej smycz z upiętym na niej chartem. Pudło lekko i kształtnie zbudowanego wozu ozdobione było obficie świeżą

zielenią, a szczególnie tylna ściana, gdzie owa zieleń jakby baldachim w górę się podnosiła. Nad nią rozpięto sieć łowiecką, promieniejącą blaskiem złota i srebra, a kończyny owej ściany przedstawiały dwie głowy dzicze, noszące między kłami wielkie pierścienie. Środek wozu ozdobiono skórami różnorodnych zwierząt łownych, a mianowicie czarnych i brunatnych niedźwiedzi olbrzymich rozmiarów. Na skórach owych, którym wybornie zcharakteryzowane łby tych drapieżców nadawały cechę świeżo ubitej zdobyczy łowieckiej, pełożono aksamitne poduszki, na których rozsiadł się kwartet rogowy. Stopnie prowadzące do tronu króla łowów, zdobiła para kolosalnych rogów jelenich.

W następnej grupie łowów na dziki, zwracali na siebie uwagę przedewszystkiem trzej w białe i żółte bluzy ubrani łowcy, głównie z powodu swej herkulicznej budowy i olbrzymiego wzrostu, następnie sfornik z postacią Goliata i rotmsitrz Buchwald, dowódzca grupy. Prócz tego pociągały oko widzów pióra dzicze i ogromne kły. W dziale łowów na niedźwiedzie, znajdowali się również niezwykłych kształtów ludzie, niektórzy z nich uzbrojeni byli w spisy, mogące zająć zaszczytne miejce w każdej zbrojowni. W strojach wymienionych grup przeważała barwa szara i zielona. Inny obraz przedstawiali sokolnicy, otoczeni paziami, tu chwytał oko gorący kolor czerwony i błyszczały szlachetnych kamieni ozdoby. Silne młodzieńcze postacie na dzielnych koniach, wywoływały podniosłe wrażenie, a mianowicie hr. Wilczek mł. w złocistym maxymiliańskim bełmie, jakoteż dwaj paziowie w różnocieniowanej czerwoności, przylegających do bujnych kształtów ciała trykotach.

Omal nie zapomnieliśmy wspomnieć o jednej oryginalnej postaci między psiarzami, którzy wiedli psy z szerokiemi obróżami, używane przy łowach na niedźwiedzie. Był to strojny, mały niedorosły murzyn, w czerwonym czepcu na głowie, prowadzący drączek ogromnych myszatych psów. Również zasługują na wzmiankę: mały, zielenią ozdobiony wózek łowczy, na którym złożono świeżą zdobycz myśliwską (wypchaną) — jakoteż wspaniała muzyka rogów.

Jeszcze oczy publiczności olśnione były wspaniałością tego widoku, jaki przedstawiał ów świetny historyczny pochód, gdy pojedyńcze odgłosy donośnego *Juchhe!* i tony piszczałek alpejskich zapowiadały zbliżanie się oryginalnego pochodu łowiectwa gór alpejskich. Tu już mniej imponujący zbytek, więcej występowała austryacka dobroduszność, jaka nigdzie tak głęboko do serca się nie wciska, jak w naszych górach alpejskich. W kilku sekundach tony owe znalazły echo w piersiach widzów, radośnie z trybun, balkonów i okien powitano łowców, nadobne damy powiewały ku nim chustkami. Dział ten prowadziło pięćdziesięciu panów, z których wymienimy hrabiego Meran. Gdy oboiści odezwali się nutą alpejską, to i publiczność radośnie im zawtórowała. Najliczniejszą była styryjska grupa, rozłamana na kilka oddziałów: *a)* łowy zimowe z jamnikami, *b)* łowy na tokach, przyczem niesiono wielką liczbę świeżo ubitych kogutów, *c)* łowy na kozice z wozem napełnionym tą zwierzyną, *d)* łowy z psami, z mnogością górskich myśliwych i psów łowczych, które nadspodziewanie były nader spokojne, nie szczekały i nie wyły, dalej ogromny wóz, na którym złożono jelenie, sarny itd. wreszcie kilkanaście wierzchowych koników. Przy grupie styryjskiej postępowali panowie A. Zinner, Eug. Miller, baronowie Thavonat, Sessler, Frank, przy niższoaustryackiej baron A. Rotschild i t. d. Szczególną uwagę zwracał na siebie hr. Hugo Windischgraetz, który jechał na pięknym rumaku przed wozem kraińskim, na którym leżała jedna część jego własnej zdobyczy myśliwskiej, podczas gdy drugą niesiono. Tu widzieliśmy kilka niedźwiedzi, wilków i t. d. Karyntyjczyków wiódł książe Rosenberg, a wóz ich napełniony był jeleniami, kozicami, sarnami, rysiami i t. d.

Pochód ów obudzał wszędzie serdeczną radość i żywe zajęcie. Wszak tu widział Najdostojniejszy Pan łowów, na którego cześć wzniósł hr. Meran głośny okrzyk, powtarzany tysiąckrotnym echem, wielu towarzyszów swoich wypraw myśliwskich w stroju i w otoczeniu, które mu przypominały błogie chwile z pasma jego życia łowieckiego. Widok ów był porywającym serce prawdziwego myśliwego, a takim jest niezawodnie nasz Najjaśniejszy Pan, cesarz Franciszek Józef.

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

CZERWIEC.

Wybujała już roślinność, zboża falować poczynają, rozrosły się krzewy, otoczyły drzewa bujnym liściem. Cały świat zwierzęcy trzyma się swego gniazda i strzeże czujnie jego bezpieczeństwa. Śpiew gwarny ptaków ucisza się zwolna, a natomiast odzywa się czułe kwilenie nad młodem potomstwem, słowik już czasem tylko oderwaną nutą zadźwięczy, lub pokrzywka mu zawtóruje. Pora to do wybierania łowczych ptaków z gniazd i żywienia ich z ręki, — polowania czółnem na podloty lub na kaczory i gęsiory pierzące się po oczeretach. W celu wytępienia drapieżnego ptactwa, bije się stare przy gniazdach i wybiera z nich młode. Myśliwy tropi łasice, kuny, tchórze, żbiki i koty, które wychodzą na łup w gniazdach ptasich, i niesłychaną w nich szkodę wyrządzają, wybiera młode wilki z gniazda, jakoteż młode, lisy jamnikami. Dziki trzymają się gąszczów, a locha wodzi 8 do 10 warchlaków. Jeleniowi odrosły już wieńce, oczyścił je i zrzucił zupełnie suknię zimową, a biją go w potrzebie na upatrzonego. Łania i sarna mają centkowane cielątko i odbijają się z niem od stada, teraz czas chwytać owe cielęta na wychowanie w zwierzyńcach. Głuszec, jarząbek i cietrzew oddalają się od samicy, która w gąszczach wodzi kurczęta. Przepiórki siedzą w zbożu na jajach. Najlepsza to pora układania młodych jamników na młodych lisach.

OGŁOSZENIA.

Upraszamy sz. czytelników o łaskawe doniesienie Redakcyi, o ile w ich okolicy uprawiane jest garncarstwo.

Prosimy o sprostowanie omyłek w poprzednim Numerze. Na stronie 70. wiersz 29. z góry w ustępie: „Najzwyklejszy sposób łowienia jest tak zwane tamowanie“, winno być zamiast tamowanie: *lancowanie.* — W artykule: „Polowanie par force zamiast fosehound: *foxhound*; w ustępie: „myśliwi cieszą się lekką nogą“ — powinno być: *lekką wagą.* W końcu mylnie akcentowany ustęp francuzki poprawiony brzmi: *pour forcer un lièvre coulamment, il faut être veneur consommé, et posséder une meute parfaitement dressée.*

Przy tej sposobności musimy odpowiedzieć na narzekania autorów, iż w „Łowcu“ znajdują omyłki. Redakcya nie może niestety uchylić tej ujemności, zapewnia jednak, iż w miarę możności usilnie się dotąd starała i starać będzie o poprawność.

INSERATY.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.